

**HENRYK
SIENKIEWICZ**

BEZ DOGMATU

Henryk Sienkiewicz

Bez dogmatu

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843370

Bez dogmatu:

Аннотация

Dziennik Leona Płoszowskiego, będący diagnozą współczesnego Sienkiewiczowi dekadenceckiego młodego pokolenia. Płoszowski, inteligentny, wykształcony i bogaty mężczyzna wiodący bezproduktywne życie, nie może odnaleźć swojego miejsca w świecie. Codziennosc upływa mu na rozrywkach, spotkaniach oraz podróżach, a wszystkie zdarzenia i przemyślenia opisuje w dzienniku. Leon, dzięki staraniom swojej ciotki, poznaje piękną Anielkę i zakochuje się w niej z wzajemnością. Zagraniczny wyjazd, wymuszony śmiercią ojca mężczyzny, zmienia ich relację. Leon nabiera wątpliwości i wdaje się w romans. Po jego powrocie do Polski okazuje się, że sytuacja diametralnie się zmieniła.

Содержание

Том I	4
Конец ознакомительного фрагмента.	140

Henryk Sienkiewicz

Bez dogmatu

Tom I

Rzym, 9 Stycznia

Przed kilku miesiącami spotkałem kolegę mego i przyjaciela, Józefa Sniatyńskiego, który w ostatnich czasach zajął wybitne stanowisko między naszymi piszącymi. W rozmowach, jakie prowadziliśmy o literaturze, Sniatyński przypisywał ogromne znaczenie pamiętnikom wogóle. Mówił, że człowiek, który zostawia po sobie pamiętnik, źle lub dobrze pisany, byle szczery, przekazuje i daje przyszłym psychologom i powieściopisarzom nietylko obraz swoich czasów, ale jedynie prawdziwe, ludzkie dokumenty, którym można zaufać. Przewidywał także, że przyszłą formą powieści, będzie wyłącznie forma pamiętnikowa; twierdził nakoniec, że kto pisze pamiętnik, ten tem samem pracuje dla swego społeczeństwa i zjednywa sobie prawo do zasługi.

Ponieważ mam lat trzydzieści pięć, a nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek zrobił coś dla mego społeczeństwa, choćby dlatego, że życie moje, od ukończenia uniwersytetu, upływało, z małemi przerwami, za granicą; ponieważ dalej, pomimo całego

humoru, z jakim o tem wspominam i całego sceptycyzmu, jakim jestem, nakształt gąbki, przesiąknięty, niemało jest goryczy w tem wyznaniu, postanowiłem przeto pisać pamiętnik. Jeśli to ma być istotnie pracą i zasługą, niechże choć w ten sposób się zasłużę.

Chcę być jednak zupełnie szczerym. Biorę się do tego pamiętnika nie tylko z powyższych względów, ale i dlatego, że ta myśl mnie bawi. Sniatyński utrzymuje, że gdy raz się człowiek przyzwyczai do spisywania swych wrażeń i myśli, to potem stanowi to jedno z najmilszych zajęć w życiu. Jeśli się okaże przeciwnie, to Boże zmiłuj się nad moim pamiętnikiem! Zwodziłbym sam siebie, gdybym nie przewidywał z zupełną pewnością, że urwie się on, jak zbyt naciągnięta struna. Gotów-em dużo znieść dla społeczeństwa, ale nudzić się dla społeczeństwa – o nie! tego nie zrobię, bo nie potrafię.

Natomiast postanowiłem nie zrażać się pierwszymi trudnościami; poprobuję przyzwyczaić się i zasmakować w tej robocie. Sniatyński, w ciągu naszych rozmów, powtarzał mi ciągle: „Tylko nie wpadaj w żaden styl, nie pisz po literacku”. Mała rzecz! Rozumiem to dobrze, że im pisarz znakomitszy, tem mniej pisze po literacku; ale ja jestem dyletant i nie panuje nad formą. Wiem to z własnego doświadczenia, że człowiekowi, który myśli wiele i odczuwa mocno, zdaje się nieraz, że tylko spisać po prostu to, o czem myśli i co odczuwa, a powstanie jakaś rzecz niepowszednia – tymczasem, gdy się do tego zabierze, wpada natychmiast w jakieś formy stylistyczne, i choćby pisał

sam dla siebie, w jakąś pozę, w pospolitą frazeologię; myśl nie chce spływać przez ramię, palce i stalówkę na papier i można rzec, że nie głowa pióro, ale pióro głowę prowadzi i prowadzi w sposób płaski, czczy, sztuczny. Tego się boję dla siebie, głównie z tego powodu, że jeśli brak mi wprawy, języka, malowniczości, prostoty pisarskiej i t. d., to z pewnością nie brak mi smaku – i mogę sobie zbrzydzić własny styl do tego stopnia, że robota stanie mi się wprost niemożliwą. Ale to się pokaże później. Obecnie zamierzam poprzedzić właściwy pamiętnik krótkim wstępem biograficznym.

Nazywam się Leon Płoszowski, mam lat, jak wspomniałem wyżej trzydzieści pięć. Pochodzę z rodziny zamożnej, która do ostatnich czasów zachowała fortunę, znacznie więcej niż średnią. Co do mnie, jestem pewien, że majątku rodzinnego nie powiększę, ale też go nie utracę. Położenie moje jest tego rodzaju, że się nie potrzebuję wspinać na żadne wyżyny, ani też nigdzie wkupować. Co do kosztownych i rujnujących uciech, jestem życiowym sceptykiem, który wie, ile co jest warte, albo inaczej mówiąc, który wie, że wszystko jest dyabło mało warte.

Matka moja umarła w tydzień po wydaniu mnie na świat. Ojciec, który kochał ją nad życie, dostał po jej śmierci napadów melancholii. Wyleczywszy się z niej w Wiedniu, nie chciał już wracać do rodzinnego majątku, tamtejsze bowiem wspomnienia rozdzierały mu duszę; odstąpił Płoszów siostrze swojej, a mojej ciotce, sam zaś przeniósł się w roku 1848 do Rzymu, z którego przez trzydzieści kilka lat ani razu nie wyjechał, nie chcąc

oddalać się od grobu matki. Zapomniałem bowiem nadmienić, że trumnę matki sprowadził z kraju i pochował ją na Campo Santo.

Mamy na Babuino własny dom, zwany Casa Osoria, od rodzinnego herbu. Wygląda on trochę na muzeum, ojciec bowiem ma niepospolite zbiory, zwłaszcza z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Obecnie stały się one przewodnią ideą jego życia. Za młodu był to człowiek niezmiernie świetny, tak pod względem powierzchowności, jak umysłu. Że zaś nazwisko i wielka zamożność otwierały przed nim wszystkie drogi – rokowano o jego przyszłości wielkie nadzieje. Wiem to od tych, którzy kolegowali z nim na uniwersytecie berlińskim. Zajmował się wówczas bardzo filozofią – i powszechnie było wówczas mniemanie, że nazwisko jego zagrzmi z czasem przynajmniej równie głośno, jak Cieszkowskiego, Libelta etc. Życie towarzyskie i niesłychane powodzenie u kobiet, odciągnęło go później od ścisłej pracy naukowej. Nazywano go w salonach „Leon l’Invincible”. Mimo tych powodzeń, nie przestał jednak zajmować się filozofią i wszyscy spodziewali się, że lada dzień wystąpi z jakimś znakomitą dziełem, które uczyni go sławnym w Europie.

Nadzieje te zawiodły. Z dawnej świetności zewnętrznej pozostało tyle, że dziś jeszcze jest to jedna z najpiękniejszych i najszlachetniejszych głów, jakie w życiu spotkałem. Malarze są tego samego zdania, a niedawno jeszcze jeden z nich mówił mi, że doskonalszego typu patrycyusza trudno sobie wyobrazić.

Pod względem naukowym ojciec mój był, i pozostanie, bardzo zdolnym i bardzo wykształconym szlachcicem-dyletantem. Wierzę do pewnego stopnia, że dyletantyzm jest przeznaczeniem wszystkich Płoszowskich i rozpiszę się o tem później, gdy mi przyjdzie mówić o sobie samym.

Co do mego ojca, wiem, że przechowuje w biurku pożółkły już traktat filozoficzny: „O Troistości”. Rękopis ten przeglądałem i znudził mnie. Pamiętam tylko, że są tam jakieś zestawienia trójcy realnej: tlenu, wodorodu i azotu – z trójcą transcendentalną, skryształizowaną przez chrześcijaństwo w pojęciu Boga Ojca, Boga Syna i Boga Ducha; oprócz tego pełno analogicznych trójek, począwszy od dobra, piękna i prawdy, a skończywszy na logicznym sylogizmie, złożonym z premisy większej, mniejszej i wniosku – dziwna mieszanina idei heglowskich z ideami Hoene-Wrońskiego, wysiłek myśli bardzo kunsztowny, a zupełnie czczy. Jestem też przekonany, że ojciec nigdy nie zechce tego drukować, choćby z tego powodu, że filozofia spekulatywna zbankrutowała pierwaj jeszcze w jego umyśle, niż w całym świecie.

Przyczyną tego bankructwa w jego umyśle, była śmierć matki. Ojciec, który mimo swego przezwiska: „l'Invincible”, i mimo swej opinii pogromcy serc, był człowiekiem niezmiernie tkliwym i który matkę swoją poprostu ubóstwiał, postawił zapewne mnóstwo strasznych pytań swej filozofii, a nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi ani żadnej pociechy, poznał jej całą czczość i jałowość wobec życiowego nieszczęścia. Musiała to być istotnie

bajeczna tragedia w jego życiu, gdy naraz odjęto mu dwie podstawy, gdy naraz rozdarło mu się serce i mózg. Wpadł wówczas, jak wspomniałem, w melancholię, potem wyleczywszy się, wrócił do uczuć religijnych. Powiadano mi, że był czas, iż modlił się dzień i noc, że klękał na ulicy przed wszystkimi kościołami i dochodził do takich religijnych uniesień, iż w Rzymie jedni mieli go za obłąkanego, drudzy za świętego.

Widocznie jednak znalazł w tem więcej pociechy, niż w swoich filozoficznych trójkach, bo stopniowo uspokoił się i zaczął żyć życiem rzeczywistym. Serce jego zwróciło się z całą siłą uczucia ku mnie, a zamiłowania estetyczne i umysłowe ku pierwszym czasom chrześcijaństwa. Umysł jego żywy i lotny potrzebował pokarmu. Po roku pobytu w Rzymie począł zajmować się archeologią, przez studia zaś dodatkowe, doszedł do znajomości czasów starożytnych. Ksiądz Calvi, mój pierwszy guwerner, a zarazem wielki znawca Rzymu, popchnął stanowczo ojca w kierunku studyów nad wiecznym miastem. Przed kilkunastu laty zawarł ojciec znajomość, a w końcu przyjaźń z wielkim Rossim, z którym całe dni przepędzał w katakumbach. Dzięki swym niezwykłym zdolnościom, doszedł wkrótce do takiej znajomości Rzymu, że niejednokrotnie zadziwiał samego Rossiego swą wiedzą. Zabierał się też nieraz do pisania, ale jakoś nigdy nie kończył tego, co zaczął. Może być, że uzupełnianie zbiorów zabierało mu wszystek czas, a jeszcze prawdopodobnie dlatego nie pozostawi nic po sobie, prócz zbiorów, że nie ograniczył się na jednej epoce, ani na

jednej jakiejś specjalności w zakresie swych badań. Zwolna, średniowieczny Rzym baronów począł go pociągać z równą siłą, jak pierwsze czasy chrześcijaństwa. Była epoka, że miał pełną głowę Colonnów i Orsinich, potem zbliżył się do renesansu i rozkochał się w nim zupełnie. Od inskrypcyi, grobowców, pierwszych zabytków chrześcijańskiej architektury, przeszedł do czasów dalszych, do bizantyńskich malowideł, do Fiesolich i Giottów, od nich do innych quatro i cinquecentistów i t. d., rozmiłował się w rzeźbach, obrazach; zbiory na tem korzystały niezawodnie, ale wielkie dzieło w naszym języku o trzech Rzymach, o którym z początku marzył, przeszło do krainy niespełnionych zamiarów.

Co do swych zbiorów, ma ojciec szczególniejszą ideę. Oto chce je po śmierci zapisać Rzymowi, z tym tylko warunkiem, by były umieszczone w osobnej sali i by ta sala nosiła napis: „Muzeum Ozoryjów-Płoszowskich”. Naturalnie, stanie się według jego woli – dziwi mnie tylko, że ojciec jest przekonany, iż tym sposobem odda daleko większą usługę swemu społeczeństwu, niż gdyby swe zbiory przeniósł gdzie do kraju.

Przed niedawnym jeszcze czasem mówił mi:

– Widzisz, tam niktby ich nie widział, niktby z nich nie korzystał, a tu cały świat przyjeżdża i każdy przeniesie zasługę jednego z członków społeczeństwa na całe społeczeństwo.

Nie wypada mi roztrząsać, czy w tem nie ma trochę próżności rodowej i czy myśl, że nazwisko Płoszowskich zostanie wyryte

na marmurze w wiecznym mieście, nie była rozstrzygającą w tej sprawie? Krótko mówiąc, sądzę, że tak było. Ostatecznie jest mi to dość obojętne gdzie te zbiory zostaną umieszczone.

Natomiast ciotka moja, do której, mówiąc nawiasem, wyjeżdżam w tych dniach do Warszawy, oburza się na myśl pozostawienia zbiorów w Rzymie, a ponieważ jest to osoba, której nic w świecie nie zdoła wstrzymać od wypowiedzenia tego co myśli, wypowiada więc swoje oburzenie bez żadnych ogródek, w każdym liście do ojca. Przed kilku laty była w Rzymie i kłócili się z ojcem z tego powodu codziennie, a byliby się może pokłócili na dobre, gdyby przywiązanie, istotnie niezmierne, jakie ciotka ma do mnie, nie było hamowało jej zapędów.

Ciotka moja starsza jest o kilka lat od ojca. Ojciec, po nieszczęściu, jakie go spotkało, wyjechawszy z kraju, wziął przy działach majątkowych kapitały, jej zaś zostawił majątek rodzinny, Płoszów. Ciotka, zarządza nim od lat trzydziestu i zarządza doskonale. Jestto osoba niepospolitego charakteru, dlatego poświęcam jej słów kilka. Mając lat dwadzieścia, była narzeczoną młodego człowieka, który umarł za granicą, właśnie wówczas, gdy ciotka wybierała się za nim w podróż. Od tej pory odrzucała wszelkie partye i pozostała starą panną. Po śmierci mojej matki, towarzyszyła ojcu do Wiednia i Rzymu, gdzie przemieszkiwała lat kilka, otaczając brata najtkliwszem przywiązaniem, które potem przeniosło się na mnie. Jestto w całym znaczeniu wielka dama, nieco despotyczna, wyniosła i weredyczka, mająca tę pewność siebie, jaką daje majątek i

wysokie położenie towarzyskie – w gruncie rzeczy zaś uosobiona zacność i poczciwość. Pod szorstkimi pozorami kryje ona złote, pobłażliwe serce, kochające nie tylko swoich, nie tylko mego ojca, mnie, domowników, ale ludzi w ogóle. Jest tak cnotliwa, że doprawdy nie wiem, czy to stanowi jakąkolwiek jej zasługę, bo nie potrafiłaby być inną. Dobroczynność jej weszła w przysłowie. Pędza dziadów i baby, jak konstabl, a opatruje, jak św. Wincenty a Paulo. Jest bardzo religijna. Nigdy żaden cień wątpienia nie wkradł się w jej duszę. Co czyni, czyni z mocy niewzruszonych podstaw; dlatego nigdy nie waha się w wyborze drogi. Z tego także powodu jest zawsze spokojna i ogromnie szczęśliwa. W Warszawie nazywają ciotkę z powodu jej szorstkości: „le bureau bienfaisant”.

Niektórzy, a zwłaszcza niektóre, nie lubią jej; powszechnie jednak zażywa wielkiego miru we wszystkich warstwach społecznych.

Płosków leży w pobliżu Warszawy, w której ciotka ma swój własny dom. Z tego powodu zimę spędza w mieście. Co zimę też usiłuje mnie ściągnąć do siebie, by mnie ożenić. Teraz właśnie otrzymałem tajemny i nagły list, pełen zaklęć, bym przyjeżdżał. Trzeba będzie zresztą to zrobić, bo oddawna nie byłem w kraju, ciotka zaś pisze, że się starzeje i że chciałaby mnie widzieć przed śmiercią.

Wyznaję zaś, że nie zawsze rad jeżdżę do kraju. Wiem, że najdroższym zamiarem ciotki jest – ożenić mnie; otóż, za każdym moim pobytem, sprawiam jej pod tym względem gorzki

zawód. Strach mnie bierze na myśl o akcie tak stanowczym, po którym trzeba by rozpocząć jakby drugie życie, podczas gdy ja tem pierwszym jestem porządnie zmęczony. Nakoniec jest coś kłopotliwego dla mnie w stosunku do ciotki. Jak dawniej znajomi na ojca mego, tak ona dziś patrzy na mnie, jako na człowieka wyjątkowych zdolności, po którym wielkich rzeczy należy się spodziewać. Pozwolić, by pozostała przy tem mniemaniu, wydaje mi się nadużywaniem jej dobrej wiary; oświadczyć jej, że nietylko wielkich rzeczy, ale niczego nie ma się po mnie spodziewać, byłoby to przesądzać przyszłość tylko prawdopodobną, a zarazem zadać staruszce cios stanowczy.

Może, na nieszczęście dla mnie, wielu bliższych mi ludzi dzieli mniemanie ciotki. Wzmianka o tem pozwala mi przejść do skreślenia mego wizerunku, co nie będzie rzeczą łatwą o tyle, o ile jestem istotą rzeczywiście w wysokim stopniu złożoną.

Przyniosłem na świat nerwy bardzo wrażliwe, wydoskonalone przez kulturę całych pokoleń. Pierwszemi latami mego dzieciństwa zajmowała się ciotka, po jej odjeździe zaś, jak zwykle w naszych rodzinach – bony. Ponieważ mieszkaliśmy w Rzymie, w otoczeniu obcym, ojciec zaś chciał, bym znał dobrze swój język, przeto jedna z moich bon była Polką. Mieszka ona dotychczas w naszym domu na Babuino i zarządza gospodarstwem domowem. Ojciec zajmował się mną także bardzo dużo, zwłaszcza od piątego roku mego życia. Chodziłem na rozmowy do jego pokoju, które rozwijały mnie niepospolicie, a może nawet przedwcześnie. Później, gdy studia i poszukiwania

archeologiczne, oraz dopełnianie zbiorów, pochłaniały ojcu wszystek czas, przyjął do mnie nauczyciela, księdza Calvi. Był to człowiek już stary, z wiarą i duszą nadzwyczaj pogodną. Kochał on nad wszystko sztukę. Sądzę nawet, że religię odczuwał przede wszystkim przez jej piękność. W muzeach, wobec arcydzieł, lub słuchając muzyki w kaplicy sykstyńskiej, zapamiętywał się zupełnie. W tych głębokich upodobaniach jego do sztuki nie było jednak nic pogańskiego, gdyż nie wspierały się one na sybarytyzmie, na używaniu zmysłowym, ale na uczuciu. Ksiądz Calvi kochał poprostu sztukę tą czystą i pogodną miłością, z jaką mogli ją kochać Da Fiesole, Cimabue lub Giotto – a co więcej, kochał ją także z pokorą, bo sam nie miał najmniejszego talentu. Natomiast im mniej mógł, tem więcej odczuwał. Nie umiałbym nawet powiedzieć, która ze sztuk pięknych była mu ulubioną, zdaje się bowiem, że głównie kochał we wszystkich harmonię, która odpowiadała jego wewnętrznej harmonii.

Nie wiem sam dlaczego, ale ile razy przypomnę sobie ojca Calvi, tylekroć przypomina mi się zarazem ów starzec, stojący obok św. Cecylii Rafaela i zasłuchany w muzykę sfer.

Między moim ojcem a księdzem Calvi prędko zaczęła się przyjaźń, która trwała aż do śmierci tego ostatniego. On to utrwalił w ojcu zamiłowanie do poszukiwań archeologicznych i wogóle do wiecznego miasta. Łączyło ich prócz tego przywiązanie do mnie. Obaj uważali mnie za dziecko wyjątkowo uzdolnione i zapowiadające, Bóg wie, jaką przyszłość.

Przychodzi mi nieraz na myśl, że stanowiłem dla nich także pewnego rodzaju harmonię, pewne dopełnienie świata, w którym żyli i że kochali mnie poniekąd takim samym uczuciem, jakim kochali Rzym i jego zabytki.

Taka atmosfera, takie otoczenie, nie mogły nie wywrzeć na mnie wpływu. Chowano mnie w sposób nieco oryginalny. Chodziłem z księdzem Calvi, a często i z ojcem, po galeryach, muzeach, za Rzym, do willi, ruin i katakumb. Ksiądz Calvi równie wrażliwy był na piękność natury, jak sztuki, wcześniej więc nauczył i mnie odczuwać poetyczną melancholię Kampanii Rzymskiej, harmonię, z jaką łuki i linie zrujnowanych wodociągów rysują się na niebie, czystość zarysów pinii; zanim umiałem dobrze cztery działania, zdarzało mi się w galeryach poprawiać Anglików, którym nazwiska Carracci i Carravaggio mieszały się w głowach. Wcześniej i łatwo nauczyłem się po łacinie, bo język włoski, którym, jako mieszkaniec Rzymu, władałem biegle, ułatwił mi tę naukę. Mając lat jedenaście, wypowiadałem swoje poglądy na mistrzów włoskich i zagranicznych, które, mimo całej swej naiwności, nie przeszkadzały księdzu Calvi i ojcu, rzucać na się zdumionych spojrzeń. Nie lubiłem np. Ribeiry, bo był mi zanadto czarny i biały, przez co wydawał się trochę straszny, a lubiłem Carla Dolce – słowem: uchodziłem w oczach ojca, księdza Calvi i w znajomych nam domach, za cudowne dziecko; słyszałem nieraz, jak mnie chwalono – i to podniecało mą próżność.

A swoją drogą nerwy moje w tem otoczeniu i takiej

atmosfera wyrobiły się wcześniej i pozostały raz na zawsze wrażliwe. Dziwna rzecz jednak, że wpływy powyższe nie były ani tak głębokie, ani tak stanowcze, jakby się można było spodziewać. Że nie zostałem artystą, to się tłumaczy tem, że zapewne nie miałem talentu, jakkolwiek moi nauczyciele muzyki i rysunku byli przeciwnego zdania; ale zastanawiam się nieraz nad tem, dlaczego ani ojciec, ani ksądz Calvi, nie potrafili mi wszczepić nawet swoich zamiłowań w tym stopniu, w jakim mieli je sami. Czy odczuwam sztukę? – tak, czy potrzebuję jej? – także tak! Ale oni ją kochali, ja zaś odczuwam ją, jak dyletant, potrzebuję jej zaś, jako dopełnienia wszelkiego rodzaju przyjemnych i rozkosznych wrażeń życiowych. Należy ona wogóle do rzędu moich upodobań, nie do rzędu moich namiętności. Nie mógłbym się może obejść bez niej w życiu – ale całego życia bym jej nie oddał.

Ponieważ stan szkół włoskich wogóle wiele pozostawiał do życzenia, ojciec oddał mnie do kolegium w Metz, które ukończyłem z małym trudem, a natomiast ze wszystkimi odznaczeniami i nagrodami, jakie tam można otrzymać. Na rok przed ukończeniem, uciekłem wprawdzie do Don Karlosa i przez dwa miesiące włączyłem się z oddziałem Tristana po Pirenejach. Wyszukano mnie za pośrednictwem konsula francuskiego w Burgos i odstawiono do Metz na pokutę; należy jednak wyznać, że pokuta nie była zbyt ciężka, albowiem i ojciec mój i przewodnicy duchowni, w skrytości duszy, dumni byli z mojej wycieczki. Zresztą świetne powodzenia egzaminowe

prędko wyjednały mi przebaczenie.

Oczywiście, wśród kolegów, których sympatye w takiej szkole, jaka istniała w Metz, musiały być po stronie Don Karlosa, uchodziłem za bohatera; że zaś jednocześnie byłem pierwszym uczniem, wodziłem więc rej w całej szkole i nikomu nie przyszło do głowy spierać się ze mną o to stanowisko. Rosłem w mimowolnym przekonaniu, że i później, na szerszym polu, tak samo będzie. Przekonanie to dzielili nauczyciele i koledzy; tymczasem faktycznie tak jest, że wielu z moich towarzyszków szkolnych, którym do głowy nie przychodziło wówczas, żeby kiedykolwiek mogli współzawodniczyć ze mną, zajmuje dziś we Francji wybitne stanowiska, bądź na polu literackim, bądź naukowym, bądź politycznym, podczas gdy ja nie wybrałem sobie zawodu, a poprawdzie byłbym w kłopotcie, gdyby mi kazano go wybrać. Stanowisko moje towarzyskie jest doskonałe; odziedziczyłem już majątek po matce, odziedziczę kiedyś po ojcu; będę gospodarował w Płoszowie, będę administrował mniej więcej mądrze albo niemądrze całą fortuną, ale już sam zakres tych zajęć wyłącza nadzieję, żebym mógł kiedykolwiek odznaczyć się w życiu i odegrać jaką rolę.

Nie stanę się nigdy świetnym gospodarzem i administratorem, to wiem z pewnością, bo jakkolwiek nie mam zamiaru uchylać się od tych zajęć, nie mam także ochoty poświęcać im życia, z tego prostego powodu, że aspiracye moje są rozleglejsze.

Czasem stawiam sobie pytanie, czy my, Płoszowscy, nie ludzimy się co do naszych uzdolnień. Ale gdyby tak było,

ludzilibyśmy się sami – ludzie zaś obcy, obojętni, nie popadaliby w ten błąd. Zresztą, ojciec mój był i jest istotnie niepowszednio uzdolnionym. Co do mnie, osobiście, nie chcę się nad tem rozwodzić, żeby to nie wyglądało na głupią próżność, ale jednak mam najszczerze przekonanie, że mógłbym być czemś nieskończenie większem, niż jestem.

Oto np., w uniwersytecie w Warszawie (ojciec i ciotka życzyli sobie, bym uniwersytet ukończył w kraju) kolegowałem ze Śniatyńskim. Obaj czuliśmy w sobie powołanie literackie i próbowaliśmy sił na tem polu. Nie mówię już o tem, że byłem uważany za studenta zdolniejszego od Śniatyńskiego, ale dalibóg, to, co pisałem wówczas, było lepsze, bardziej obiecujące od tego, co pisał Śniatyński. A dziś co? Śniatyński się wybił względnie wysoko, ja zaś nie przestałem być wielce obiecującym panem Płoszowskim, o którym tu i owdzie ludzie mówią, kręcąc głowami: „Gdyby się tylko do czegoś wziął”.

Ludzie nie liczą się z tem, że trzeba umieć chcieć. Myślałem nieraz, iż gdybym nie miał żadnego majątku, to musiałbym się do czegoś wziąć. I zapewne. Musiałbym w jakiś sposób zarabiać na chleb, ale wewnątrz jestem przekonany, że i w takim razie nie wyzyskałbym swoich uzdolnień w dwudziestej części. Zresztą, taki Darwin, taki Buckle, to byli ludzie bogaci; sir John Lubbock jest bankierem, większość znakomitych ludzi francuskich opływała w dostatki; pokazuje się więc, że majątek nietylko nie przeszkadza, ale pomaga do zajęcia stanowiska na wszystkich polach. Przypuszczam nawet, że mnie, osobiście,

oddał on wielką przysługę, bo uchronił charakter mój od wielu zwichnięć, na które naraziłoby go ubóstwo. Nie chcę powiedzieć przez to, żebym miał charakter słaby; z drugiej strony walka mogłaby go nawet zahartować – ale bądź co bądź, im kto mniej znajduje na drodze kamieni, tem mu łatwiej uniknąć potknięcia lub upadku.

Próżniactwu nie przypiszę także mojej nicości. Posiadam w równym stopniu łatwość przyswajania sobie wiadomości, jak i ciekawość. Czytuję wiele i pamiętam wiele. Być może, iż nie zdobyłbym się na żelazną wytrwałość, na pracę długą, powolną, rozległą – ale ten brak wytrwania powinna właśnie łatwość zastąpić. Wreszcie nic mnie nie obowiązuje do pisania słowników, jak to czynił Litré. Kto nie umie świecić z wytrwałością słońca, może przynajmniej zabłysnąć, jak meteor. Ale ta nicość w przeszłości, ta prawdopodobna nicość w przyszłości... Cierpko mi się robi i nuda poczyna mnie gnębić, więc urywam na dziś pisanie.

Rzym, 10 Stycznia

Wczoraj na wieczorze u hr. Malatesta usłyszałem frazes: „l'improductivité slave”. Doznałem ulgi, jak owi chorzy nerwowi, którzy, dowiedziawszy się od doktora, że objawy ich choroby są znane i że wiele osób cierpi podobnie, cieszą się z tej wiadomości. Prawda! prawda! ilu to ja mam kolegów – nie wiem, czy w całej Słowiańszczyźnie, bo jej nie znam – ale ilu u nas! Myślałem o tej „improductivité slave” całą noc. Nie głupi był człowiek, który to tak sformułował. Jest w

nas coś takiego; jest jakaś nieudolność życiowa do wydania z siebie wszystkiego, co się w nas mieści. Można rzec, że Bóg dał nam łuk i strzały, tylko odmówił zdolności do napięcia tego łuku i wypuszczenia strzał. Pogadałbym o tem z ojcem, zwłaszcza, że ojciec lubi podobne rozprawy, ale boję się dotknąć bółączki. Myślę natomiast, że napełnię i przepełnię dziennik tą kwestyą. Może to jednak właśnie będzie dobrze, może to będzie stanowiło jego główną wartość? Przytem, cóż naturalniejszego nad to, że będę pisał o tem, co mnie najwięcej obchodzi. Każdy człowiek nosi w sobie jakąś swoją tragedye. Otóż moja tragedia jest ta „improductivité” Płozowskich. Wobec ludzi niema teraz zwyczaju zdradzać się z takimi rzeczami. W niedawnych jeszcze czasach, gdy romantyzm kwitnął w sercach i w poezyi, nosiło się swą tragedye, jak malowniczo drapowany płaszcz, obecnie nosi się, jak jegerowski kaftanik: pod koszulą. Ale dziennik, to co innego; w dzienniku wolno i należy być szczerem.

Rzym, 11 Stycznia

Zostaję tu jeszcze parę dni, więc korzystam z czasu, by, zanim przejdę do zapisywania zdarzeń z dnia na dzień, rozejrzeć się w przeszłości i raz z nią skończyć. Jak już wyżej wzmiankowałem, ani myślę pisać obszernej autobiografii; kim jestem i jakim jestem, przyszłe moje życie pokaże to dostatecznie. Szczegółowe badanie dawniejszego, byłoby przeciwne mojej naturze. Jestto rodzaj nudnego dodawania: wypisuje się pojedyncze cyfry, jedna pod drugą, następnie podkreśla się je i sumuje. Owóż

nie cierpiałem całe życie czterech działań arytmetycznych, a pierwsze z nich było mi właśnie najnieznośniejsze.

Chcę jednak mieć jakieś, choćby bardzo ogólne pojęcie o sumie, by stać się sobie samemu mniej więcej jasnym – więc w równie ogólnych zarysach idę dalej.

Po ukończeniu uniwersytetu, skończyłem szkołę rolniczą we Francji – z łatwością, lecz bez szczególnego pociągu, jak człowiek, który wie, że go zajęcia rolnicze czekają napewno w przyszłości, ale który czuje, że się poniekąd do nich zniża i że nie odpowiedzą one nigdy ani jego zdolnościom, ani ambicyom. Dwa jednak dobre rezultaty osiągnąłem z tego pobytu w szkole rolniczej. Oto rolnictwo przestało być dla mnie bajką o żelaznym wilku i pierwszy lepszy ekonom nie wywiedzie mnie w pole; powtóre, przez pracę w polach, na otwartym powietrzu, zebrałem znaczny zapas zdrowia i sił, dzięki którym dawałem skuteczny opór takiemu życiu, jakie wiodłem później w Paryżu.

Albowiem następne moje lata upływały między Rzymem i Paryżem, nie mówiąc o krótkich wizytach w Warszawie, do której od czasu do czasu wzywała mnie ciotka, bądź to z tęsknoty ku mnie, bądź z chęci ożenienia mnie z jakąś dzierlatką swego wyboru. Paryż i jego życie pociągało mnie niezmiernie. Jakkolwiek byłem wówczas dobrego o sobie mniemania, jakkolwiek miałem większe zaufanie do swego rozumu, niż mam dziś, i tę pewność siebie, jaką daje niezależne stanowisko towarzyskie – jednakże przez pewien czas odgrywałem rolę naiwne na tej wielkiej scenie świata.

Zakochałem się naprzód śmiertelnie w pannie Richemberg z Komedyi Francuskiej i chciałem się z nią koniecznie ożenić. Ile stąd wypadło zawikłań tragicomicznych, nie będę się rozpisywał, bo mi dziś trochę wstyd tych czasów, a trochę mi się śmiać z nich chce. Potem wyprowadzono mnie jeszcze niejednokrotnie w pole, albo też i samemu zdarzało mi się brać liczmany za dobrą monetę. Kobieta francuska, tak jak zresztą i polska, choćby należąca do najwyższej sfery i choćby przytem cnotliwa, byle młoda, przypomina mi fehmistrza na szpady. Jak fehmistrz potrzebuje mieć codzień swą „godzinę sali”, by nie wyjść z wprawy w robieniu bronią, tak i te panie fechtują się w zakresie sentymentu poprostu dla wprawy. Jako chłopak młody, nie brzydszy od dyabła i należący do lepszego towarzystwa, byłem nieraz zapraszany na taką „godzinę sali” – że zaś w naiwności ducha brałem te ćwiczenia na seryo, zdarzało mi się więc nieraz również na seryo coś oberwać. Nie były to wprawdzie rany śmiertelne, ale dość bolesne zakłócia. Zresztą jestem przekonany, że każdy musi złożyć swoją daninę naiwności w tym świecie i w takim życiu. Mój czas trwał względnie krótko. Potem przyszedł peryod, który mogę określić słowem: „la revanche”. Płaciłem za swoje, jeżeli zaś i wówczas wyprowadzano mnie w pole, to dlatego, że chciałem iść w pole.

Mając wszędzie łatwy wstęp, poznałem rozmaite towarzystwa, począwszy od domów legitymistycznych, w których zresztą nudziłem się, skończywszy na tej świeżej, bardzo utytułowanej arystokracji, stworzonej przez Bonapartych

i Orleanów, a stanowiącej wielki świat... może nie paryski, ale na przykład nicejski. Dumas syn, Sardou i inni biorą swoich hrabiów, margrabiów i książąt z tego właśnie gatunku, który, nie mając żadnej wielkiej tradycji dziejowej, a w bród tytułów i pieniędzy, zajęty jest głównie używaniem życia. Do tych kół należą i wysokie finanse. Co do mnie, kręciłem się w nich najchętniej ze względu na **te panie**. Są one subtelne, wyrobione nerwowo, szukające wrażeń, chciwe użycia, a pozbawione naprawdę wszelkich ideałów. Bywają też częstokroć równie zepsute, jak romanse, które czytają, bo moralność ich nie ma ani gruntu religijnego, ani tradycji obowiązującej. Z tem wszystkim, jest to świat bardzo błyszczący. „Godziny sali” są w nim tak długie, że równają się dniom i nocom, mogą zaś być niebezpieczne, bo tam nie ma w zwyczaju stępać floretów. Tam też brałem te bolesne lekcye, pókim się dostatecznie sam nie wyćwiczył. Byłoby dowodem próżności, a co więcej, złego smaku, rozpisywać się o swych powodzeniach, powiem więc tylko, że tradycje młodości ojcowskiej starałem się, jak mogłem utrzymać.

Najniższe okręgi tego świata stykają się niejako z największymi wielkiego półświata. Ow pół-świat jest niebezpieczniejszy, niż się na pierwszy rzut oka zdaje – bo bynajmniej nie jest trywialny. Cynizm jego ma pewne pozory artyzmu. Jeżeli tam nie pozostawił zbyt wielu piór, to tylko dlatego, że zanim tam wszedłem, miałem już dziób nieźle zakrzywiony i niezgorzej ostre pazury.

Ale wogóle, mówiąc o życiu paryskim, można powiedzieć to, że kto wychodzi z tego młyna, musi się czuć nieco zmęczony, a cóż dopiero ten, który, jak ja, wychodził po to tylko, żeby wracać. Człowiek później dopiero zaczyna rozumieć, że jego zwycięstwa równają się Pyrrusowym tryumfom. Mój silny z natury organizm stawiał dość skuteczny opór temu życiu, ale nerwy mam nadszarpane.

Paryż posiada wszelako jedną wyższość nad wszystkimi innymi ogniskami życia. Oto nie znam żadnego miasta w świecie, gdzieby pierwiastki wiedzy, sztuki, wszelkiego rodzaju idee ogólnoludzkie, krążyły tak w powietrzu i wsiąkały tak w głowy ludzkie, jak tam. Człowiek nie tylko przyswaja sobie tam mimowoli to, co w dziedzinie umysłowości jest najnowszem, ale umysł jego traci zarazem jednostronność, staje się wyrozumiąły i ucywilizowany. Powtarzam: ucywilizowany, bo we Włoszech, Niemczech i Polsce spotykałem głowy, nawet bardzo mocne, ale tak nie chcące dopuścić, by mogło coś istnieć po za promieniem ich światła, tak wyłączone i tak barbarzyńskie, że dla ludzi, którzy chcieli zachować swój własny sposób widzenia rzeczy, stosunek z nimi był wprost niemożliwy.

We Francji, a ściślej mówiąc w Paryżu, podobne objawy nie istnieją. Jak potok bystro płynący wyokrągła kamienie, trąc je jeden o drugi, tak prąd życia wyokrągła tam i humanizuje umysły. Oczywiście pod podobnymi wpływami i moja głowa stała się głową ucywilizowanego człowieka. Potrafię dużo wyrozumieć; nie rzucam pawich krzyków, gdy usłyszę coś

przeciwne moim poglądom, albo coś zgoła nowego. Być może, iż takie uwzględnienie wszelkiego rodzaju zasad prowadzi do pewnej obojętności na wszystkie i odbiera energię w działaniu, ale już nie potrafiłbym być innym.

Prąd umysłowy niósł mnie – płynąłem. Jeśli stosunki towarzyskie, salony, buduary, kluby, pochłaniały znaczną część mego czasu, to nie pochłaniały go jednak wyłącznie. Porobiłem dużo znajomości w świecie naukowym i artystycznym i żyłem życiem tego świata, a raczej żyję nim dotychczas. Z wrodzonej ciekawości czytałem bardzo wiele, że zaś przyswajam sobie łatwo to, co czytam, więc mogę powiedzieć, że wykształciłem się znacznie. Idę mniej więcej razem z ruchem umysłowym mego wieku.

Jestem też istotą w wysokim stopniu świadomą siebie. Czasem posyła się do dyabła to drugie ja, badające i krytykujące pierwsze – nie pozwalające oddać się całkowicie żadnemu wrażeniu, żadnemu działaniu, żadnemu uczuciu, żadnej rozkoszy, żadnej namiętności. Być może, iż samowiedza jest znamię wyższego rozwoju umysłowego, ale zarazem jest czemś osłabiającem niezmiernie odczuwanie. Nosić w sobie wiecznie czujną krytykę siebie samego, jest to odłączyć od całości potrzebną na to część ducha – a więc życie i jego wrażenia odczuwam nie całością, lecz tylko pozostałą resztą.

Jestto równie męczące, jak dla ptaka byłoby męczące latanie jednym skrzydłem. Prócz tego samowiedza zbyt rozwinięta odbiera także zdolność do czynu. Gdyby nie ona, Hamlet zaraz w

pierwszym akcie byłby na wylot przewiercił stryjaszka i z całym spokojem objął po nim sukcesyę.

Co do mnie osobiście, jeśli czasem broni mnie ona i wstrzymuje od kroków nierozważnych, to natomiast daleko częściej nuży mnie, nie pozwala mi się skupić całkowicie i wyłącznie w jednym działaniu. Noszę w sobie dwóch ludzi, z których, gdy jeden ciągle zeznaje i krytykuje, drugi żyje tylko pół-życiem i traci wszelką stanowczość. Męczy mnie i ta świadomość, że się z pod tego jarzma nie otrząsnę, owszem, o ile umysł mój będzie się rozszerzał, o tyle i samowiedza będzie się stawała coraz dokładniejszą i że, umierając nawet, nie przestanę krytykować Płozowskiego umierającego, chyba, że gorączka zwarzy mój mózg.

Odziedziczyłem zapewne po ojcu umysł syntetyczny, bo staram się zawsze uogólniać wszystkie zjawiska; z nauk zaś żadna nie pociągała mnie tak, jak filozofia. Ale za czasów mego ojca filozofia obejmowała taki sobie, ni mniej, ni więcej, zakres, jak wszechświat i wszechbyć, wskutek tego miała gotową odpowiedź na wszelkie pytania. Obecnie stała się ona o tyle rozsądną, iż przyznaje, że jej w dawnym ogólnem znaczeniu niema – i że istnieje tylko jako filozofia poszczególnych gałęzi wiedzy. Doprawdy, gdy o tem myślę, chce mi się powiedzieć, że i rozum ludzki ma swoją tragedję, i że zaczęła się ona dla niego właśnie wraz z tem wyznaniem swojej niemocy. Ponieważ piszę osobisty pamiętnik, będę więc mówił o tych rzeczach ze stanowiska osobistego. Nie mam się za fachowego filozofa, bo z fachu,

jak już wspomniałem, jestem niczem – ale jak wszyscy ludzie myślący, zajmowałem się najnowszym ruchem filozoficznym, byłem i jestem pod jego wpływem i mam zupełne prawo mówić o tem, co weszło w skład i wpłynęło na wytworzenie się mojej istoty umysłowej.

Przedewszystkiem zaznaczam, że moje wierzenia religijne, które wyniosłem jeszcze nietknięte z Metz, nie ostały się wskutek czytania książek przyrodniczo-filozoficznych. Nie idzie zatem, bym był ateistą. Och, nie! To było dobre dawniej, za owych czasów, gdy jeśli ktoś nie uznawał ducha, mówił sobie: materya – i zaspakajał się tem słowem. Dziś tylko parafialni filozofowie stoją na takim zacofanem stanowisku. Dziś filozofia takich rzeczy nie przesądza, dziś odpowiada na podobne pytanie: „nie wiem” – i to „nie wiem” wszczepia w duszę. Dziś psychologia zajmuje się analizą bardzo ścisłą wszelkiego rodzaju objawów psychicznych, lecz zapytana o nieśmiertelność duszy, odpowiada także: „nie wiem” – i istotnie nietylko nie wie – ale nie może wiedzieć.

A teraz łatwo mi będzie określić stan mego umysłu. Oto: nie wiem, nie wiem! W tem, w tej uznanej impotencyi ludzkiego rozumu, leży tragedia. Bo pomijając, że natura nasza duchowa będzie zawsze gwałtu krzyczała o odpowiedź na podobne pytania, toż to przecie są pytania największej wagi realnej, najbardziej człowieka obchodzące. Jeśli po tamtej stronie jest coś i to coś wieczystego, to nieszczęścia i straty po tej stronie maleją do zera. Można by do nich zastosować słowa Hamleta: „A

to niech dyabli porwą żałobę, ja wezmę sobole”. „Zgadzam się na śmierć, mówi Renan, ale niech wiem, że mi się ona na coś przyda”. A filozofia odpowiada: „Nie wiem”.

Człowiek zaś szamocze się w tej wielkiej niewiadomej, czując, że gdyby się mógł na którąkolwiek stronę przechylić, to jednak byłoby mu lepiej i swobodniej. Ale cóż na to poradzić? Czy winić filozofię, że zamiast budować systematy, które się codzień rozlatywały, jak domki z kart, uznała własną niemoc i zajęła się badaniem i uporządkowywaniem zjawisk, leżących w przystępnych dla rozumu granicach? Nie! Sądzę tylko, że ja i każdy inny miałby prawo przyjść do niej i powiedzieć jej: „Podziwiam twoją trzeźwość, uwielbiam ścisłość analizy, ale z tem wszystkim uczyniłaś mnie nieszczęśliwym. Nie masz, jak sama przyznajesz, dość siły odpowiedzieć na pytania pierwszej dla mnie wagi – a miałaś jej dość, by podkopać moją ufność w naukę, która mi na nie odpowiadała nietylko stanowczo, ale w sposób kojący i słodki. I nie mów, że ponieważ nie przesądzasz nic, więc pozwalasz mi wierzyć we wszystko. Nieprawda! Metodą twoją, duszą twoją, istotą twoją, jest zwątpienie i krytyka. Tę swoją naukową metodę, ten sceptycyzm, tę krytykę, tak wszczepiłaś w moją duszę, że stała się ona moją naturą. Wypaliłaś, jak kamieniem piekielnym we mnie wszystkie te nerwy ducha, któremi się wierzy bezkrytycznie i poprostu, tak, że dziś, gdybym chciał wierzyć, to nie mam czem. Pozwalasz mi chodzić na mszę, jeśli mam ochotę, ale zatrzymałaś mnie sceptycyzmem do tego stopnia, że dziś jestem sceptykiem nawet

względem ciebie, nawet względem własnego sceptycyzmu, i nie wiem, nie wiem, nie wiem! – i męczę się i szaleję w tej ciemności!...”

Rzym, 12 Stycznia

Wczoraj pisałem w pewnym uniesieniu. Ale też zdaje mi się, że dotknął próchna i mojej własnej i ogólnej ludzkiej duszy. Bywają epoki, że obojętniej na podobne pytania, czasem jednak targają one mnie bez miłosierdzia – tembardziej, że to są rzeczy, które się w sobie zamyka. Byłoby może lepiej o nich nie myśleć, ale zbyt są na to ważne. Bo ostatecznie człowiek chce wiedzieć, co go oczekuje i jak ma życie urządzić! Próbowałem zresztą nieraz powiedzieć sobie: dość! z tego błędnego koła nie wyjdiesz, więc w nie nie wchodzi! Mam wszystko po temu, by zrobić z siebie syte i wesołe zwierzę – ale nie zawsze mogę na tem poprzestać. Powiadają, że w naturze Słowian leży pewien pociąg do mistycyzmu, do rzeczy zaświatowych. Zauważyłem, że np. na mistycyzmie kończą wszyscy nasi wielcy pisarze. Cóż dziwnego, że się czasem trochę pomęczą ludzie zwyczajni. Co do mnie, musiałem o tych swoich wewnętrznych niepokojach napisać, by sobie skreślić dokładny obraz stanu swej duszy. Przytem człowiek potrzebuje się czasem sam przed sobą usprawiedliwić. Oto np. ja, z tem wielkiem „nie wiem” w duszy, zachowuję przepisy religijne i nie mam się za człowieka nieszczerego. Byłoby tak, gdybym zamiast „nie wiem” – mógł powiedzieć: wiem, że nic niema. Ale ten nasz sceptycyzm nie jest otwartą negacją: jestto raczej bolesne i męczące podejrzenie, że może nic

nie być, jestto gęsta mgła, która otacza nasze głowy, przygniata nasze piersi i przysłania nam światło. Więc wyciągam ręce do tego słońca, które może za tą mgłą świeci. I myślę, że nie sam jeden jestem w tem położeniu – i że modlitwę wielu, bardzo wielu z tych, którzy chodzą na mszę w niedzielę, możnaby streścić w słowach: Panie, rozprosz mgłę!

Nie mogę o tych rzeczach pisać zupełnie zimno. Zachowuję przepisy religijne jeszcze i dla tego, że wiara jest mi pożądana, ponieważ zaś ta słodka nauka, w której się wychowałem, kładzie, jako warunek wiary, łaskę, więc czekam łaski. Czekam, żeby mi zesłano taki stan duszy, w którym mógłbym uwierzyć tak głęboko i bez cienia wątpliwości, jak wierzyłem, będąc dzieckiem. To są moje powody szlachetne; nie powoduje mną żaden interes, bo przecie wygodniej mi było być tylko sytem i wesołem zwierzęciem.

Jeśli zaś chodzi o to, bym swoją zewnętrzną religijność usprawiedliwił mniej szlachetnymi, a bardziej praktycznymi powodami – ach! mam ich mnóstwo. Oto, przywykłem od dzieciństwa; spełnianie pewnych przepisów stało się niemal we mnie nałogiem; oto, jak Henryk IV mówił, że Paryż wart jest mszy, tak ja mówię sobie: spokój bliskich wart jest mszy; ludzie mojej sfery spełniają w ogóle obowiązki religijne, a moje sumienie czułoby się obowiązane do protestu tylko w takim razie, gdybym mógł sobie powiedzieć coś bardziej stanowczego, niż: „nie wiem”. Oto nakoniec chodzę do kościoła, bom jest sceptyk, podniesiony do kwadratu, to znaczy, że jestem sceptykiem nawet

względem własnego sceptycyzmu.

I jest mi z tem źle. Dusza moja wlecze jedno skrzydło po ziemi. Byłoby mi zaś jeszcze gorzej, gdybym te wszystkie kwestye brał zawsze tak do serca, jak brałem je, pisząc te dwie ostatnie kartki. Na szczęście dla mnie, tak nie jest. Wspomniałem już, że przychodzą na mnie epoki zobojętnienia. Czasem życie porywa mnie w swoje objęcia, a choć w gruncie rzeczy wiem, co mam myśleć o jego słodyczach, jednak oddaje mu się w zupełności – i wówczas to moralne: „to be, or not to be?” niema dla mnie znaczenia. Dziwna, a mało badana dotąd rzecz, jak niestłuchane ma znaczenie w tym względzie suggestya społeczna. W Paryżu naprzykład, bywam spokojniejszy, nietylko dlatego, że mnie ten młyn ogłusza, że kipię razem z tym wrzątkiem, że mi serce i głowę zajmują moje „godziny sali”, ale że tam ludzie, nie zdając sobie może sprawy, żyją tak, jakby każdy miał wszelką pewność, że w to życie warto jest włożyć wszystkie siły, bo po za niem jest tylko proces chemiczny. I puls mój poczyna bić razem z tym pulsem i nastrajam się zgodnie do tego nastroju. Bawię się lub nudzę, biję lub jestem bity, ale mam względny spokój.

Rzym. Babuino, 13 Stycznia

Mam zaledwie cztery dni czasu do wyjazdu, chcę zaś jeszcze przed wyjazdem streścić to, com o sobie powiedział. Jestem człowiekiem nieco zmęczonym, bardzo wrażliwym i nerwowym. Mam wyrobioną do wysokiego stopnia świadomość siebie, popartą względnem wykształceniem, czyli mogę wogóle uważać

się za istotę umysłowo rozwiniętą.

Sceptycyzm, ów sceptycyzm podniesiony do kwadratu, wyłącza we mnie wszelkie niewzruszone przekonania. Patrzę, obserwuję, krytykuję – i czasem zdaje mi się, że chwytam istotę rzeczy, ale zresztą gotów jestem zawsze i o tem powątpiewać. O moim stosunku do religii mówiłem. Co do przekonań społecznych, jestem o tyle konserwatystą, o ile człowiek w moich warunkach być nim poniekąd musi, i o ile konserwatyzm odpowiada moim upodobaniom. Nie potrzebuję mówić, jak daleko od tego do poglądu na zachowawczość, jak na dogmat, którego krytykować nie wolno. Jestem człowiekiem nadto ucywilizowanym, abym stał bezwzględnie po stronie arystokracji lub demokracji. W takie rzeczy bawią się jeszcze po zaściankach lub w dalekich stronach, gdzie idee przychodzą tak, jak mody, o kilkanaście lat zapóźno. Od czasu, jak nie istnieje przywilej, kwestya jest, podług mnie, zamknięta; tam zaś, gdzie ją zacofanie podtrzymuje, stała się kwestyą nie zasad, ale próżności i nerwów. Co do mnie, lubię ludzi rozwiniętych, wyrobionych nerwowo i szukam ich tam, gdzie mi ich znaleźć łatwiej.

Lubię ich tak, jak lubię dzieła sztuki, piękną naturę, piękne kobiety. Pod względem estetycznym posiadam nerwy nietylko wyrobione, ale może nawet przerafinowane. Składała się na to i ich przyrodzona wrażliwość i wychowanie, jakie odebrałem. Ta estetyczna wrażliwość daje mi tyle samo uciech, ile przykrości, ale wyświadczała i wyświadcza mi ona jedną wielką przysługę,

mianowicie chroni od cynizmu, czyli od ostatecznego zepsucia i zastępuje mi poniekąd zasady moralne. Nie popełniłbym wielu uczynków nietyłe może dlatego, że są złe, ile dlatego, że są szpetne. Z moich estetycznych nerwów płynie także delikatność uczuć. Wogóle zdaje mi się, że jestem człowiekiem – być może trochę popsutym – ale porządnym, lubo naprawdę mówiąc, poniekąd zawieszonym w powietrzu, bo nie wspierającym się na żadnych dogmatach, ani pod względem religijnym, ani społecznym. Nie mam także celu, dla którego bym życie mógł poświęcić.

Na zakończenie tej syntezy, słowo jeszcze o moich zdolnościach. Ojciec, ciotka, koledzy, a czasem i ludzie obcy, uważają je za wprost nadzwyczajne. Ja przyznam, że mój umysł ma pewną błyskotliwość. Ale czy „l'improductivité slave” nie rozwieje pokładanych we mnie nadziei? Na mocy tego, com dotychczas zrobił, a raczej na mocy tego, zem dotychczas nic nie zrobił, nietylko dla drugich, ale nawet dla siebie, godzi mi się przypuszczać, że tak.

A zeznanie to kosztuje mnie więcej, niż się zdaje. Ironia moja, gdy o sobie myślę, ma smak goryczy. Jest coś jałowego w tej glinie, z której Bóg stworzył Płoszowskich, skoro na niej tak łatwo i bujnie wszystko porasta, a nic nie wydaje ziarna. Gdybym istotnie przy tej jałowiźnie, przy tej niemocy czynu, posiadał nawet genialne zdolności, to byłbym jakimś szczególnym rodzajem geniusza bez teki, jak bywają ministrowie bez teki.

To określenie: geniusz bez teki, wydaje mi się bliskie istoty rzeczy. Muszę wziąć na nie patent wynalazku. Ach! i znowu ta pociecha! Oto nie sam jeden, dalibóg, nie sam jeden będę nosił to miano. Imię moje jest legion! „L'improductivité slave” istnieje swoją drogą, a swoją drogą: **geniusz bez teki**, to nasz, czysto nadwiślański, płód. Raz jeszcze powtarzam, że imię moje jest legion. Nie znam zakątka ziemi, w którymby tyłu marnowało świetne zdolności – w którymby ci nawet, którzy coś dają, dawali tak mało – tak niesłuchanie mało, w stosunku do tego, co im Bóg dał.

Rzym. Babuino, 14 Stycznia

Drugi list od ciotki z naleganiem, bym przyspieszył przyjazd. Jadę, kochana ciociu, jadę – a Bóg widzi, że robię to tylko z przywiązania do ciebie, bo inaczej wolałbym tu zostać. Ojciec mój czuje się nie zdrów; od czasu do czasu doznaje drętwienia w całej lewej połowie ciała. Na prośbę moją wezwał lekarza, ale jestem pewien, że lekarstwa, jakie mu przepisano, zamknął do szafy, jak to zresztą zwykł czynić od kilkunastu lat. Raz otworzył tę szafę, i pokazując mi setki butelek i buteleczek, słoików, słoików, pudełek, powiedział: „Zlituj się, gdyby to najzdrowszy człowiek zjadł i wypił, to jeszczeby nie wytrzymał, a cóż dopiero człowiek chory!” Dotychczas pogląd taki nie wyrządził ojcu wielkiej krzywdy, ale jestem niespokojny o przyszłość.

Drugim powodem niechęci do wyjazdu są dla mnie zamiary ciotki. Naturalnie, że chodzi jej o to, by mnie ożenić. Nie wiem, czy ciotka ma coś upatrzonego; dałby Bóg, żeby nie

miała, ale z zamiarami nawet się nie ukrywa. „Że o taką partycję, jaką ty jesteś (pisze mi) rozpocznie się zaraz wojna białych i czerwonych róż, to łatwo przewidzieć”. Ależ ja jestem zmęczony, nie chcę być powodem żadnej wojny, a zwłaszcza nie chcę, jak Henryk VII-my, kończyć wojny róż małżeństwem. Z drugiej strony – oczywiście, ciotce nie mogę tego powiedzieć, ale sam przed sobą mogę zeznać: oto nie lubię Polek. Mam lat trzydzieści pięć; miałem, jak każdy człowiek, który dużo żył, rozmaite uczuciowe przygody w życiu, spotykałem i Polki – i z tych przygód, z tych zetknięć, wyniosłem wrażenie, że to są najtrudniejsze i najbardziej męczące kobiety w świecie. Nie wiem, czy są cnotliwsze, na ogół, od Francuzek lub Włoszek; wiem to tylko, że są o wiele patetyczniejsze. Zimno mi się robi, gdy o tem pomyślę. Bo rozumiem elegię nad stłuczonym dzbankiem, gdy po raz pierwszy ujrzy się u stóp skorupy; ale deklamować tę elegię z równym patosem nad wielokrotnie drutowanym dzbankiem, to, doprawdy, zakrawa na operetkę. Miła rola „czułego słuchacza”, któremu przyzwoitość nakazuje brać to na seryo! Dziwne, fantastyczne kobiety, o płonących głowach, a rybim temperamentem! W uczuciach ich niema nietylko wesołości, ale i prostoty. Kochają się one w formach uczucia, mniej dbając o treść wewnętrzną. Z tego powodu nie potrafisz nigdy Polki obrachować. Z Francuzką, z Włoszką, jeśliś logicznie ułożył premissy, możesz być mniej więcej pewien swojego „ergo”. Z Polką bynajmniej! Ktoś powiedział, że jeśli się mężczyzna myli, to mówi, że dwa razy dwa jest pięć – i

błąd może być sprostowany – kobieta zaś, myląc się, twierdzi, że dwa razy dwa jest lampa, i wtedy choć głową o mur bij. Otóż przede wszystkim w logice Polek może wypaść, że dwa razy dwa nie jest cztery, ale lampa, miłość, nienawiść, kot, łyży, obowiązki, wróbel, pogarda – zgoła nic nie potrafisz przewidzieć, niczego obrachować, przeciw niczemu się ubezpieczyć. Być zresztą może, iż z powodu tych wszystkich wilczych dołów, cnota Polek lepiej jest ubezpieczoną, niż innych kobiet, choćby dlatego, że oblegający nuży się śmiertelnie. Com jednak zauważył i czego nie mogę im darować, to tego, że te wilcze doły, palisady, pastki, ta zaciekłość obrony, wszystko to nietyle obrachowane jest na ostateczne odpędzenie przeciwnika, ile na wyzyskanie wzruszeń walki.

Mówiłem raz o tem – naturalnie obwijając rzecz, ile możliwości, w bawełnę – z jedną bardzo sprytną kobietą, nawpół tylko Polką, bo ojciec jej jest Włochem. Ta, wysłuchawszy mnie, odrzekła:

– Pan masz w tej sprawie pogląd lisa na gołębnik. Nie podoba ci się to i psuje ci humor, że gołębie mieszkają zwykle wysoko, i że mają skrzydła lotniejsze od kurzych. Wszystko, co mówisz, wypada raczej na korzyść Polek.

– A to jakim sposobem?

– Bo im Polka jest nieznośniejszą, jako cudza żona, tem może być pożądańszą, jako własna.

Przyparto mnie, jak to mówią, do muru i na razie nie umiałem znaleźć odpowiedzi. Może być przytem, że mam trochę pogląd

lisa na gołębnik. Niewątpliwem jest także, że gdybym się miał żenić w ogólności, a w szczególności żenić z Polką, tobym tej Polki szukał nie tylko między gołębiami, mieszkającymi wysoko, ale i między gołębiami białymi.

Jestem jednakże, jak owe ryby, które, na pytanie, z jakim sosem chcą być przyprawione, odpowiadają, że przede wszystkim wcale nie życzą sobie być przyprawione. Tu wracam do zarzutów przeciw wam, miłe rodaczki. Kochacie w ogóle więcej dramat w miłości, niż samą miłość. W każdej z was siedzi królowa – i tem ogromnie różnicie się od innych kobiet; każda z was sądzi, że już tem samem wyrządza łaskę i dobrodziejstwo, jeśli się pozwala kochać; żadna nie zgodzi się na to, by być tylko dodatkiem, tylko dopełnieniem męskiego życia, które ma przecie inne cele. Wy chcecie, żebyśmy dla was istnieli, nie wy dla nas. Następnie kochacie lepiej dzieci, niż męża. Dola jego jest dola satelity. Widziałem to, obserwowałem nieraz – takie jesteście powszechnie; gdzieniegdzie tylko świecą wyjątki, jak dyamenty wśród osypiska. Nie! – moje księżniczki – pozwólcie uwielbiać się zdaleka.

Odsunąć raz na zawsze na drugi plan wszystkie cele, wszystkie ideały, płonąć codziennie, jak kadzidło na ołtarzu żony – i do tego własnej żony, o, panie moje – to dla człowieka trochę zamało!

Moja samowiedza pyta mnie wprawdzie zaraz: „Właściwie, co ty masz lepszego do roboty, jakie zamiary, jakie cele? Jeśli kto, to ty stworzony jesteś na ofiarę całopalną”.

Ale nie – do licha! W małżeństwie trzeba tak zmienić życie, tyle wyrzec się ze swoich przyzwyczajzeń, wygod, upodobań, nałogów, że chyba istotna i wielka miłość może to opłacić. Mnie się to nie trafi. Ożenienie się jest tak bajecznym aktem wiary w kobietę i woli, że się na nie nigdy nie zdobęde. Powtarzam jeszcze raz: „Nie chcę być z żadnym sosem przyprawiony”.

Warszawa, 21 Stycznia

Przyjechałem dziś rano, ale zem się zatrzymałem w Wiedniu, więc droga nie dała mi się zbyt we znaki. Godzina jest późna, nerwy spać mi nie dają, zatem zasiadam do pisania. Rzeczywiście wchodzi mi ono w zwyczaj – i znajduję w niem pewien powab. Co za radość w domu! co za pocziwa ta ciotka! Z radości pewnie także nie śpi, a przy obiedzie nie mogła nic jeść. Gdy jest u siebie w Płoszowie, kłóci się zawsze z panem Chwastowskim, swoim rządcą, bardzo tęgim szlachcicem, który słowa nie pozwala sobie powiedzieć i odcina się zęb w zęb. Dopiero, gdy się tak skłóca, że rozstanie zdaje się być nieuniknione, ciotka milknie i je z apetytem, a nawet z pewną zaciekłością. Dziś musiała poprzestać na wyłajaniu służby, co jej nie wystarczyło. Humor miała jednak przepyszny, i ile było niezgłębionego przywiązania w spojrzeniach, które rzucała na mnie przez całe poobiedzie, to się nie da opisać. W kółku jej znajomych nazywają mnie fetyszem, o co zresztą ciotka mocno się gniewa.

Oczywista rzecz, że przewidywania i obawy moje się sprawdziły. Nietylko istnieją zamiary, ale istnieje coś

upatrzonego. Ciotka ma zwyczaj chodzić wielkimi krokami po obiedzie i głośno myśleć. Otóż, mimo tajemnicy, jaką starała się otaczać, usłyszałem monolog następujący:

– Młody jest, przystojny, bogaty, jeniałny – chybaby głupia była, gdyby się w nim zaraz nie zakochała.

Jutro jedziemy na piknik, jaki młodzież wyprawia damom. Ma to być zabawa bardzo świetna.

Warszawa, 25 Stycznia

Nudzę się często na balach, jako „homo sapiens”; nie cierpię ich, jako kandydat do małżeństwa, ale lubię je czasem, jako artysta – naturalnie, artysta bez teki. Co to za piękna rzecz, naprzykład, szerokie, rzęsiście oświecone i pełne kwiatów schody, po których kobiety, przybrane balowo, wchodzą na górę. Wszystkie wydają się wówczas bardzo wysokie, a gdy się patrzy na nie z dołu, jak ciągną za sobą powłóczyście suknie, przypominają aniołów w śnie Jakóba. Lubię ten ruch, światła, kwiaty, te lekkie tkaniny, pokrywające jakby jasną mgłą młode panny; a cóż dopiero mówić o obnażonych szyjach, gorsach i ramionach, które po zdjęciu narzutek, zdają ścinać się, krzepnąć na powietrzu i przybierać twardość marmuru. Mój zmysł powonienia rozkoszuje się także. Przepadam za dobremi perfumami.

Piknik udał się bardzo dobrze. Trzeba przyznać Staszewskiemu, że umie takie rzeczy urządzać. Przyjechałem razem z ciotką, ale straciłem ją zaraz w przedsionku, bo Staszewski zbiegł umyślnie, żeby jej podać rękę na

schody. Biedne ciotczysko ma jakąś długą, gronostajową narzutkę, której używa na wszystkie wielkie wystąpienia, wskutek czego nazywają ją „Dostojną peleryną”. Wszedłszy na salę, zatrzymałem się nieopodal drzwi, żeby się rozejrzeć między ludźmi. Człowiek doznaje dziwnego wrażenia, gdy po kilkuletniej niebytności znajdzie się wśród swojskich twarzy. Czuje wówczas doskonale, że są to bliższe istoty, niż te, które gdzieindziej spotykał, a jednak przypatruje im się, bada je i robi spostrzeżenia, jakby obcy. Szczególniej kobiety zajęły moją uwagę.

Bądź co bądź, towarzystwo u nas jest wykwintne. Twarze widziałem ładne lub brzydkie, ale takie, jakie wytwarza stara i wyrafinowana cywilizacja. Szyje i ramiona kobiet, przy całej nieraz okrągłości młodzieńczej, przypominały mi poprostu wyroby sewrskie. Jest w nich jakaś spokojna wytworność, jakies wykończenie. Co za stopy widziałem, co za ręce, co za rysunek czaszek! Doprawdy, że tu nie udają Europy, tu nią są.

Stałem tak z kwadrans, rozmyślając jeszcze i nad tem, którą z tych głów, który z tych gorsów, ciotka przeznaczona dla mnie? Tymczasem nadeszli Śniatyńscy. Jego widziałem przed kilku miesiącami w Rzymie, ją znałem już także poprzednio. Lubie ją, bo ma ogromnie słodką twarz i należy do tych wyjątkowych Polek, które nie pochłaniają życia mężów, ale oddają im swoje. Po chwili wsunęła się między nas jakaś młoda osóbka, która, przywitawszy się ze Śniatyńską, wyciągnęła do mnie łapkę, opiętą w białą rękawiczkę i spytała:

– Nie poznasz mnie, Leonie?

Trochę mnie zakłopotało to pytanie, bo istotnie w pierwszej chwili ani wiedziałem, kogo mam przed sobą, zacząłem jednak potrząsać tą rączką, kiwać głową, uśmiechać się i powtarzać: „A to dobre! a jakże! owszem! owszem!” – jak człowiek, który nie chce okazać się niegrzecznym. Przypuszczam nawet, że miałem przytem dość głupią minę, bo pani Śniatyńska roześmiała się, potem zaś rzekła:

– Ależ pan jej naprawdę nie poznaje: Anielka P.

Anielka! moja kuzynka! Cóż dziwnego, że ją nie poznałem! Widziałem ją przed dziesięciu, czy jedenastu laty, w sukience po kolana. Przypominam sobie, że to było w Płoszowie, w ogrodzie; miała wówczas różowe pończoszki i komary ogromnie ją cięły po nóżkach, skutkiem czego tupiała, jak konik. Jakże miałem teraz poznać, że ten gors, ubrany fijołkami, że te białe ramiona, ta przystojna twarz, o ciemnych oczach, słowem: że ta panna w całym rozkwicie, to tamta pliszka na cienkich nogach. O, jaka ładna! Ależ motyl wylął się z tej poczwarki! Oczywiście powitałem ją po raz drugi i najserdeczniej. Potem, gdy Śniatyńscy odeszli, a ona powiedziała mi, że ciotka i matka przysłały ją po mnie, podałem jej ramię i poszliśmy razem w głąb sali.

Nagle zrobiło mi się w jednej chwili jasno w głowie. Oczywiście, że ciotka ma na celu Anielkę! Oto cała tajemnica, oto niespodzianka! Ciotka zawsze bardzo kochała tę dziewczynę i wiecznie gryzła się kłopotami majątkowymi pani P. Dziwno

mi tylko było, że te panie nie stanęły w domu ciotki, ale nie chciałem się nad tem zastanawiać, bom wolał przyglądać się Anielci, która, jak łatwo zrozumieć, zaczęła mnie teraz w inny sposób interesować, niż pierwsza lepsza panna. Po drodze miałem dość czasu i na rozmowę i na egzamin, albowiem szliśmy na drugi koniec sali, a już tłok robił się coraz większy. Moda tegoroczna nakazuje nosić rękawiczki średnio długie, nie dochodzące do łokcia, spostrzegłem więc naprzód, że ramię Anielki, które wspierało się na mojem, ma ciemnawy ton od pokrywającego je, zbyt może obfitego puszku. Aniela nie jest jednak brunetką, choć na pierwszy rzut oka robi wrażenie brunetki. Włosy jej przeświecają jak bronz. Oczy ma jasne, ale i one wydają się czarne z powodu niezmiernie długich rzęs; brwi jej natomiast są zupełnie czarne i istotnie prześliczne. Cechą charakterystyczną tej małej główki, o niskiem czole, jest właśnie owa zbytnia bujność włosów, brwi, rzęs i puszku, który na bokach twarzy staje się delikatny, jak pela i zupełnie jasny. Wszystko to, razem wzięte, może z czasem wyjść na niekorzyść jej piękności, obecnie jednak jest tak młoda, że oznacza to tylko jakąś żywotność i bujność organizmu i czyni z tej dziewczyny nie zimną lalkę, ale ciepłą, żywą i pełną ponęt kobietę.

Nie zapieram się, że jakkolwiek moje nerwy są wybredne i nie poczynają grać z lada powodu, odczułem te ponęty doskonale. To mój typ. Ciotka, która jeśli słyszała o Darwinie, to zapewne uważa go za jakąś „paskudną” głowę – zastosowała się mimowolnie do jego teorii naturalnego doboru. Tak! to mój

typ! Tym razem nielada przynęte osadzono na haczyku.

Jakieś prądy elektryczne poczęły przebiegać z jej ramienia po mojem. Widziałem zresztą, że i ja robię na niej korzystne wrażenie, a to zawsze ożywia. Egzamin, który czyniłem, jako artysta, wypadł równie pomyślnie. Są twarze, które wydają się, jak przekład z muzyki lub poezji na ludzkie rysy. Do takich właśnie należy twarz Anielki. Niema w niej pospolitości. Dziewczynom ze szlacheckich domów wychowanie zaszczepia tak skromność, jak się dzieciom szczepi ospę – jest więc w niej i ten wyraz, jest coś niewinnego, a z pod tej niewinności wygląda gorący temperament. Co za połączenie! To jakby ktoś powiedział: niewinny djabeł!

Przypuszczam zresztą, że przy całej niewinności, Anielka może być trochę kokietką; zauważyłem zaraz, że posiada zupełną świadomość swych ponęt. Oto, wiedząc naprzykład, że ma prześliczne rzęsy, spuszcza je co chwila na oczy, bez koniecznej potrzeby. Ma także bardzo miły sposób podnoszenia głowy i patrzenia na mówiącego. Z początku rozmowy była trochę sztuczna, bo onieśmielona, ale po chwili już byliśmy tak, jak gdybyśmy się nigdy, od owych płoszowskich czasów, nie rozstawali.

Ciotka jest nieoceniona ze swojemi dystrakcjami – tylko spiskowaćbym z nią nie chciał. Ledwieśmy z Anielką przyszedli do tych pań, ledwie zdołałem powitać jej matkę i przemówić z nią kilka słów, gdy ciotka, widząc moje ożywienie, rozpromieniła się w oczach, następnie ruszyła ramionami i zwróciwszy się do

matki Anielki, rzekła głośno:

– Ślicznie jej w tych fijołkach! Ha! może to i dobra była myśl, żeby ją na balu pierwszy raz zobaczyć...

Matka Anielki zmieszała się bardzo, Anielka również, a ja zrozumiałem, dlaczego te panie nie zajechały do domu ciotki. Był to widocznie pomysł pani P. Ona i ciotka musiały prowadzić już oddawna układy. Przypuszczam, że Anielka nie była wprost do nich dopuszczona, ale dzięki panińskiej przenikliwości w takich razach, mogła się ich domyślać.

Więc, żeby położyć koniec ogólnemu zakłopotaniu, zwróciłem się do niej i powiedziałem:

– Z góry cię ostrzegam, że źle tańczę, ale będą mi cię co chwila porywali, zatem daruj mi jednego walca.

Anielka w odpowiedzi podała mi karnet i rzekła rezolutnie:

– Zapisz, co chcesz.

Ja wyznaję, że nie lubię roli manekina, którego się pociąga za sznurki, nie lubię być popychanym do czegoś; więc, chcąc odrazu zająć jakąś rolę czynną w polityce starszych pań, wziąłem karnet i napisałem: „Czyś zrozumiała, że nas chcą żenić?”

Anielka, przeczytawszy, zmieniła się na twarzy, a następnie nieco przybladła. Przez chwilę milczała, jakby nie była pewna, czy jej głos dopisze, lub jakby wahając się, co ma odpowiedzieć; wreszcie podniosła swoje śliczne rzęsy i spojrzawszy mi prosto w oczy, odrzekła:

– Tak!

Ale teraz ona zaczęła pytać, wprowadzie nie słowami,

jeno wzrokiem. Powiedziałem już, że zrobiłem na niej także korzystne wrażenie, a przytem, skoro się domyślała układów, to musiała mieć napełnioną myśl mną. To też teraz czytałem wyraźnie w jej oczach słowa:

– Wiem, że mama i ciotka życzą sobie, byśmy się poznali, zbliżyli, więc... więc?

Więc zamiast odpowiedzi, otoczyłem ręką jej stan, przygarnąłem ją zlekka do siebie i poprowadziłem do walca. Przypomniały mi się moje „godziny sali”.

Taka niema odpowiedź mogła trochę rozmarzyć dziewczynę, której już poprzednio zaimponowało to, co napisałem w karnecie. Ale myślałem sobie: dlaczego bym jej nie miał trochę rozmarzyć? W żadnym razie nie pójdę dalej, niż chcę, a gdzie ona zajdzie, to mnie jeszcze mało obchodzi. Anielka doskonale tańczy, a tego walca tańczyła tak właśnie, jak kobieta powinna walca tańczyć, to jest z pewnem zapamiętaniem się i oddaniem tancerzowi. Uważałem, że fijołki na jej gorsie poruszają się żywiej, niżby to dało się usprawiedliwić powolnem zresztą tempem. Rozumiałem, że się w niej coś poczyna. Kochanie jest poprostu potrzebą fizyczną, hamowaną wprawdzie najstaranniej w pannach, należących do wyższych warstw towarzyskich, ale niemniej nieprzepartą. To też, gdy dziewczynie powiedzą: „tego wolno ci kochać” – bywa nieraz, że dziewczyna korzysta z pozwolenia bardzo skwapliwie.

Anielka widocznie spodziewała się, że skoro raz zdobyłem się na to, co napisałem w karnecie, to po walcu nastąpi o tem

rozmowa w dalszym ciągu. Ale ja umyślnie usunąłem się zaraz na bok, by ją zostawić w oczekiwaniu.

Chciałem także przypatrzeć się jej z pewnej odległości. Stanowczo to mój typ. Tego rodzaju kobiety ciągną mnie poprostu, jak magnes. Ach, żeby ona miała lat trzydzieści i nie była panną, z którą mnie swatają!

Warszawa, 30 Stycznia

Te panie przeniosły się do nas. Wczoraj cały dzień byłem z Anielką. Ma ona więcej stronnic w duszy, niż miewają zwykle panny w jej wieku. Wiele z tych stronnic przyszłość dopiero zapisze, ale jest miejsce na bardzo piękne rzeczy. Odczuwa i rozumie wszystko, a przytem słucha nieporównanie, skupiając się i otwierając szeroko swe rozumne oczy na mówiącego. Kobieta, która umie słuchać, posiada jeden więcej sposób podobania się, bo pochlebia przez to miłości własnej mężczyzny. Nie wiem, czy Anielka ma świadomość tego, czy tylko szczęśliwy instynkt kobiety. Być może także, iż tyle nasłuchiwała się o mnie od ciotki, że każde słowo moje uważa za wyrocznię. Ma ona jednak trochę kokieterii. Dziś, na pytanie moje, czegooby sobie najmocniej w życiu życzyła, odpowiedziała: „zobaczyć Rzym” – przyczem opuściła swoje frendzliste powieki na oczy i była nieopisanie ładna. Widzi to doskonale, że mi się podoba i jest z tego powodu szczęśliwa. Jej kokieteria jest śliczna, bo płynie z rozradowanego serca, które chce się przypodobać drugiemu wybranemu sercu. Nie mam już najmniejszej wątpliwości, że ta dusza leci ku mnie, jak ćma ku

światłu. Biedne dziecko, czując zgodę starszych, korzysta z niej aż nadto skwapliwie. Proces ten można obserwować z godziny na godzinę.

Ja powinienbym sobie może postawić pytanie: jeśli się nie chcesz żenić, to czemu czynisz wszystko, żeby tę dziewczynę rozkochać? Ale mi się nie chce odpowiadać na to pytanie. Tak mi jest dobrze i zacisznie! A właściwie mówiąc, co ja takiego czynię? Nie staram się wydać głupszym, ani mniej uprzejmym, ani antypatyczniejszym, niż jestem – oto wszystko.

Anielka przysłała dziś na ranną kawę w jakiejś przestronnej, marynarskiej bluzce w paski, pod którą można się było tylko domyślać jej kształtów, ale można też było głowę stracić, dzięki takim domysłom. Miała oczy trochę zaspane, a w sobie jakieś ciepło snu. Coś bajecznego, jakie ona robi na mnie wrażenie.

31 Stycznia

Ciotka wydaje wieczór dla Anielki. Chodzę z wizytami. Byłem u Śniatyńskich i siedziałem długo, bo mi jest u nich dobrze. Śniatyńscy żyją w ciągłej niezgodzie ze sobą, ale zupełnie innej, niż zwykle żyją małżeństwa. Pospolicie tak bywa, że jak jest jeden płaszcz, to każde ciągnie go dla siebie, między nimi zaś jest spór o to, że on jej chce cały oddać, a ona jemu. Lubię ich ogromnie, bo dopiero u nich przekonywam się, że szczęście może być rzeczą nie tylko książkową, ale zupełnie realną. On przytem jest bystry człowiek, wrażliwy, jak skrzypce Stradivariusa i posiada zupełną świadomość swego szczęścia. Chce go i ma. Tego mu zazdroszczę. Rozmowa z nim zawsze była

mi przyjemna. Dali mi doskonałej czarnej kawy – tylko chyba u literatów pija się podobną – i poczęli się wypytywać, jak mi się wydaje Warszawa i swoi po tak długiej niebytności. Były pytania i o ostatnią zabawę, zwłaszcza ze strony pani Śniatyńskiej, bo ona się trochę ciotczyńskich zamiarów domyśla, a że pochodzi z Wołynia, to jest z tych samych stron, co Anielka i Anielkę zna dobrze, więc radaby wścibić swój różowy nosek w tę sprawę.

Oczywiście unikałem rzeczy osobistych, ale dużo mówiliśmy o naszym towarzystwie w ogóle. Powiedziałem, co myślę o wytworności tego towarzystwa, że zaś Śniatyński, mimo, że sam nieraz ostro krytykuje swoje społeczeństwo, chciwy jest aż do szowinizmu na wszelką dla niego pochwałę, więc wpadł w doskonały humor i zaraz począł przytakiwać.

– Lubię – rzekł w końcu – słyszeć podobne rzeczy z takich ust, jak twoje, bo jeśli kto, to ty miałeś naprzód sposobność porównywać, a powtóre jesteś raczej pesymistą.

– Nie wiem, mój kochany – odrzekłem – czy i ten mój sąd nie jest pesymistyczny.

– Nie rozumiem dlaczego?

– Bo widzisz, na każdej kulturze, tak wyrafinowanej, możesz napisać to, co się pisze na pakach ze szkłem lub porcelaną: „fragile!” Tobie, który duchowo pochodzisz z Aten, mnie i dziesiątemu, dobrze i miło jest żyć z ludźmi, mającymi tak wydoskonalone nerwy; ale jeśli zechcesz coś na tej podstawie budować, to cię ostrzegam, że ci belki na głowę zlecą. Czy myślisz, że ci wytworni dyletanci życiowi nie muszą przegrać w

walce o byt z ludźmi, mającymi tęgie nerwy, grube mięśnie i grubą skórę?

Śniatyński, który jest bardzo żywy, zerwał się, zaczął chodzić po pokoju, a potem napadł na mnie z wielkim impetem:

– To jedna strona, i strona dodatnia, jak sam przyznajesz, nie myśl jednak, żeby w nas nic więcej nie było. Ty przyjeżdżasz z za morza, a mówisz, jakbyś tu życie spędził.

– Ja nie wiem, co jest w was, ale to wiem, że nigdzie na świecie nie ma takiego braku równowagi w kulturze klas społecznych, jak tu. Z jednej strony wykwit, albo może i przekwit kultury, z drugiej strony absolutne barbarzyństwo i ciemnota.

Poczęliśmy się kłócić i zmrok zapadł, nim od nich wyszedłem. On mi powiedział, że jeśli będę częściej do niego przychodził, to się zobowiązuje pokazać mi pośrednie ogniwa, które nie są ani przerafinowane, ani chore na dyletantyzm, ani też ciemne, jak tabaka w rogu, słowem, ma mi pokazać tęgich ludzi, którzy coś robią i wiedzą, czego chcą. Gadaliśmy jeden przez drugiego, tembardziej, że po kawie wypiliśmy po kilka kieliszków koniaku. Gdy już wyszedłem, Śniatyński krzyczał jeszcze za mną na schodach:

– Z takich, jak ty, nic już nie będzie, ale z twoich dzieci mogą być ludzie; musisz tylko, a raczej musicie wszyscy, pierwiej pobankrutować, bo inaczej i wnuki wasze nie wezmą się do żadnej roboty!

Myślę jednak, że na ogół ja miałem słuszość. Zapisuję właśnie dlatego tę rozmowę, ponieważ od przyjazdu nieustannie

myślę o tym braku równowagi. Faktem jest, że u nas klasy społeczne dzieli przepaść, wobec której wszelkie porozumienie się, wszelkie zgodne działanie, jest zupełnie niemożliwe. Śniatyński sam musi się zgodzić, że składamy się z ludzi przycywilizowanych i zgoła nieucywilizowanych. Tak ja przynajmniej widzę! Wyroby sewrskie i surowa glina – nic w pośrodku. Jedno „très fragile”, drugie owidiuszowa „rudis indigestaque moles”. Oczywiście, że wyroby sewrskie prędzej później się potłuką, a z gliny przyszłość ulepi, co jej się podoba.

2 Lutego

Wczoraj odbył się u nas wieczór tańczący; Anielka istotnie zwracała wszystkie oczy. Jej białe ramionka wyglądały z osłon gazy, illuzji – i bo ja tam wiem z jakich jeszcze materyałów – jak ramiona Wenus, wychylającej się z piany morskiej. Rozniosło się już po Warszawie, że się z nią żenię. Uważałem, że Anielka wczoraj przy każdym zawrocie tańca wodziła za mną oczyma i słuchała z dystrakcją tego, co jej tancerze mówili. Biedne dziecko, tak nie umie nic ukryć, tak okazuje wszystko, co ma w sercu, że ślepy chybaby tego nie spostrzegł. A takie to względem mnie pokorne, takie ciche, takie szczęśliwe, gdy się zbliżam! Zaczynam ją lubić bardzo i zaczynam słabnąć. Śniatyńskim tak przecie dobrze ze sobą! Nie po raz pierwszy przychodzi mi zadać sobie pytanie, czy Śniatyński jest głupszy, czy też mądrzejszy odemnie. Ja, ze wszystkich zadań życiowych nie rozwiązałem żadnego, jestem niczem; sceptycyzm trawi mnie, nie jestem szczęśliwy, a czuję się znużony. On nie ma mniej świadomości

odemnie, przytem pracuje; ma przystojną żonę, ale ma, bestya, jakąś filozofię życiową, która szczęście jego popiera. Stanowczo ja jestem głupszy. Kluczem do filozofii Śniatyńskiego są jego dogmaty życiowe. Jeszcze przed ożenieniem mówił mi: „Jest jedna rzecz, do której nie zbliżam się ze swoim sceptycyzmem, której nie krytykuję i nie będę: jako dla literata, dogmatem dla mnie jest społeczeństwo – jako dla człowieka prywatnego: kochana kobieta”. Ja wówczas myślałem sobie: jednak mój umysł jest śmielszy, skoro nie cofa się przed rozbiorem i takich uczuć. Ale dziś widzę, że ta śmiałość nie doprowadziła mnie do niczego. Z drugiej strony: on taki śliczny, ten mój długorzęsy dogmacik! Stanowczo słabnę. Ten jakiś nadzwyczajny pociąg, jaki mam do niej, nie da się wytłómaczyć samem prawem naturalnego doboru. Nie! jest w tem coś więcej – i wiem nawet co. Oto, ona zakochała się we mnie tak świeżem i poczciwem uczuciem, jakiem mnie nikt nie kochał. O, jakież to inne od owych „godzin sali”, w czasie których zadawałem i parowałem ciosy! Kobieta, która się mocno podoba, a sama mocno kocha, jeśli tylko wytrwa, może być pewna wygranej. „Zabłąkany ptak”, jak się wyraża Słowacki, wróci niechybnie do niej, jak do swej ciszy, do swego pokoju i wróci tem skwapliwiej, im mu samotniej i ciężiej będzie w zabłąkaniu. Nic tak nie zjednywa, nie ujmuje, nie ciągnie męskiego serca, jak gdy czuje, że jest kochane. Kilka stronic temu napisałem Bóg wie co o Polkach, ale jeśliby kto myślał, że dla jednej marnej stronnicy, lub ze strachu przed zarzutem niekonsekwencyi, nie zrobię tego, co będę uważał w

danym razie za lepsze, toby się grubo mylił.

Jak ta dziewczyna zadawalnia mój zmysł artystyczny, to coś nadzwyczajnego! Po skończonym balu nastąpiła najmilsza chwila, gdyśmy, po odjeździe wszystkich, kazali sobie przynieść herbaty do salonu i zasiedli do niej we czworo. Ja, chcąc zobaczyć, co się dzieje na dworze, poszedłem do okna i odsunąłem nieco portyere. Była już ósma rano, więc przez szyby wpadło nagle światło dzienne, które przy blasku lamp wydało się tak szafirowe, ażem się zdumiał. Alem się jeszcze bardziej zdumiał, gdym zobaczył w tych szafirach Anielkę. Miałem zupełnie to wrażenie, jakby była w grotcie błękitnej na Capri. Co za tony były na jej obnażonych ramionach! I cóż robić, ale taka już jest moja natura, taka wrażliwość, że w tej chwili zesłałem do reszty, i że Anielka tak mnie chwyciła tem za serce, jakby to była jej zasługa. Długo i zupełnie inaczej, niż dotychczas, uścisnąłem jej rękę na dobranoc, a ona, nie cofając tej rączki, odpowiedziała:

– Dzień dobry, nie dobranoc, dzień dobry!

Ale, albowm zupełnie ślepy, albo muzyka tego głosu mówiła, narówni z oczami dziewczyny:

– Kocham, kocham!

Prawie, że i ja.

Ciotka, patrząc na nas, wydaje głuchy pomruk radości. Widziałem, że miała łzy w oczach.

Wyjeżdżamy do Płoszowa.

Płoszów, 5 lutego

Drugi dzień już jesteśmy na wsi. Mieliśmy pyszną drogę.

Pogoda, mróz. Śnieg skrzypiał pod płozami i skrzył się na polach. Pod zachód słońca, te ogromne białe płaszczyzny nabrały odblasku zupełnie fioletowego. W lipach, pod Płoszowem, tłukły się z wielkim krakaniem stada wron. Zima, mocna zima u nas, to jednak piękna rzecz. Jest w niej jakaś siła i powaga, a przede wszystkim szczerść. Równie, jak szczerzy przyjaciel tnie prawdę w oczy bez ogródek, tak i ona bierze za uszy, ani pyta. Ale za to jej rzeźkość udziela się ludziom. Wszyscyśmy byli zadowoleni, że jedziemy na wieś. Prócz tego starsze panie były rade, że ich najdroższe chęci mają się ku spełnieniu, ja byłem rad, bo wyczuwałem ramieniem ramię siedzącej obok mnie Anielki – ona zaś, być może, iż z tego samego powodu czuła się szczęśliwa. Parę razy, pochyliwszy się, ucałowała ciotki ręce – ot, tak sobie, z nadmiaru radości. Bardzo jej ładnie było w jakimś puszystym boa i w futrzanej czapeczce, z pod której ledwie wyglądały jej ciemne oczy, prawie jeszcze dziecinne i twarz z policzkami, wyszczypanymi na różowo od mrozu. Młodość aż bije od niej.

Dobrze w tym Płoszowie i zacisznie. Lubię zwłaszcza ogromnie staroświeckie kominki. Ciotka strzeże lasów, jak oka w głowie, ale paliwa nie żałuje, więc od rana do wieczora pali się na tych kominkach; płomień huczy, strzela i daje myśl wesołą. Przez całe poobiedzie siedzieliśmy wczoraj opodal ognia. Opowiadałem dużo o Rzymie i jego zabytkach, a słuchano mnie z takim namaszczeniem, że ażem się sam sobie wydawał śmieszny. Ciotka, gdy opowiadam, nie spuszcza oczu z Anielki,

badając, z pewną surowością nawet, czy twarz jej wyraża należyty zachwyt. Ale jest go tam aż nadto. Wczoraj powiedziała mi:

– Kto inny mógłby tam całe życie mieszkać i nie dostrzedz połowy tych piękności, które ty widzisz.

Ciotka natychmiast dodała z dogmatycznym spokojem:

– Ja zawsze to samo mówiłam.

Dobrze, że niema tu drugiego takiego sceptyka, jak ja, bo obecność jego wprawiałaby mnie w zakłopotanie.

Pewnym rozdźwiękiem między nami jest matka Anielki. Tyle w życiu przeszła, tyle się nakłopotowała, że wesołość jej została raz na zawsze zwarzona. Ona się poprostu boi każdej przyszłości i bezwiednie podejrzewa, że nawet pomyślność ukrywa jakąś zasadzkę. Była z mężem ogromnie nieszczęśliwa, później przechodziła tysiące zmartwień z powodu majątku, który jest duży, ale w złym stanie. W dodatku ciągle miewa migreny.

Anielka zdaje się należeć do kategorii kobiet, liczniejszej u nas, niżby kto myślał, których z powodu majątku nigdy głowa nie zaboli.

Lubię ją za to, bo to dowodzi, bądź co bądź, wyższych zamiłowań. Zresztą, teraz mnie w niej wszystko zachwyca. Tkliwość wyrasta tak szybko na gruncie pociągu zmysłów, jak trawa po ciepłym deszczu. Dziś rano zobaczyłem na korytarzu pannę służącą, niosącą suknię i trzewiki Anielki – i – zwłaszcza te trzewiki – tak mnie rozczuliły, jakoby posiadanie i noszenie ich było koroną wszystkich cnót Anielki.

Wogóle my, mężczyźni, jesteśmy ogromnie słabi. Trzymam rękę na własnym tętnie i badam postęp tej uczuciowej gorączki. Puls już bardzo szybki.

Płoszów, 8 lub 9 Lutego

Ciotka wróciła już do zwykłej wojny z panem Chwastowskim. Jestto tak oryginalne przyzwyczajenie, że doprawdy warto jeden z takich sporów opisać. Ciotce stanowczo potrzeba kłótni, li tylko dla nabrania apetytu. Chwastowski zaś, który mówiąc nawiasem, administruje wybornie Płoszowem, jestto szlachcic z saletry i siarki, nie pozwalający sobie nikomu w kaszę dmuchać – więc kłótnie ich dochodzą do wielkiej zawziętości. Już przyszedłszy do sali jadalnej, poczynają na siebie rzucać złowrogie spojrzenia: pierwszą włócznię przy zupie ciska zwykle ciotka, zaczynając tak naprzykład rozmowę:

– Nie pamiętam odkąd, proszę pana Chwastowskiego, żebym się mogła dowiedzieć czegoś o oziminach, a pan Chwastowski, jak naumyślnie, o wszystkim mówi, tylko nie o tem.

– Pani hrabino, z jesieni wschodziły dobrze, a teraz dwa łokcie śniegu leży – co ja mogę wiedzieć? Nie jestem Panem Bogiem.

– Niech pan Chwastowski nie wzywa imienia Pana Boga nadaremno.

– Ja Mu pod śnieg nie zaglądam, więc Go i nie obrażam.

– To może ja obrażam?

– A pewnie!

– Pan Chwastowski jest nieznośny!

– Oj, znośny, znośny, bo dużo znosi!

W ten lub podobny sposób śruba idzie do góry. Rzadki obiad, żeby sobie przynajmniej nie przymówili kilkakrotnie. Ciotka milknie w końcu i je zapalczywie, jakby chciała swój gniew spędzić na potrawy. Rzeczywiście ma dobry apetyt. Ale w miarę potraw, humor jej się poprawia i stopniowo przechodzi w wyśmienity. Teraz gdy ja podaję po obiedzie ramię matce Anielki, ciotce podaje pan Chwastowski i idą na czarną kawę w najlepszej zgodzie. Ciotka wypytuje go o synów, on zaś całuje ją po rękach. Naprawdę lubią się i szanują. Synów pana Chwastowskiego widywałem, kiedy byli jeszcze w uniwersytecie. Mają to być tęgie chłopaki, ale ogromne radykały.

Anielcia przestraszała się z początku trochę tej obiadowej wojny. Wytlómaczyłem jej, co to jest i teraz, gdy się spór zaczyna, spogląda na mnie ukradkiem z pod swoich długich rzęs, uśmiecha się kącikami ust – i wygląda przytem tak, że chciałoby się ją schrustać. U żadnej w życiu kobiety nie widziałem takich poprostu alabastrowych skroni i takich żyłek na skroniach.

12 Lutego

Istne metamorfozy Owidiusza i na świecie i we mnie. Mróz zelżał, pogoda się skończyła, ciemności panują egipskie. Nie mogę lepiej opisać tego, co się dzieje na dworze, jak gdy powiem, że czas jest zgniły. Jednak to jest okropny klimat. W Rzymie, w czasie największej niepogody, jeszcze dziesięć razy na dzień pokaże się słońce; tu zaś od dwóch dni należałoby w pokojach lampy palić. Ta czarna i ciężka wilgoć przenika do myśli, maluje je na czarno i zarazem przygniata. Na mnie działa to fatalnie.

Ciotka z Chwastowskim kłócili się dziś więcej, niż kiedykolwiek. Chwastowski utrzymywał, że ciotka, nie pozwalając tknąć lasów, niszczy je, bo starodrzew marnieje – ciotka zaś odpowiada, że i bez jej pomocy dosyć u nas wycinają lasów – „ja się starzeję, niech się i las starzeje!” Przypomina mi to jednego szlachcica, który, mając duży majątek w najlepszych ziemiach, nie uprawiał nigdy więcej, jak tyle, „co pies obszczeka”.

Ale mniejsza z tem! Ogromną przykrość wyrządziła mi niechcący matka Anielki. Zaczęła mi dziś w oranżeryi opowiadać z pewną macierzyńską, ale nieestetyczną chępliwością, jak o Anielkę starał się znajomy mój, Kromicki. Było mi tak, jakby mi ktoś drzazgę wyjmował zębem od widelca. Tak samo, jak owo błękitne światło rozczuliło mnie dla Anielki, choć nie było jej zasługą, tak te zaloty Kromickiego ostudziły mnie dla niej, choć nie były jej winą. Tę małą, Kromickiego, znam od lat kilku i nie lubię jej. Pochodzi on ze Szląska austriackiego, gdzie kiedyś podobno Kromiccy posiadali ogromne nadania. W Rzymie rozpowiadał, że jego rodzina nosiła jeszcze w XV wieku tytuł hrabiowski – i zapisywał się w hotelach „Graf von Kromicky”. Gdyby nie czarne małe oczki, świecące, jak dwa ziarnka upalonej kawy i takąż czupryna, wyglądałby, jak człowiek wycięty ze skórki od sera po obiedzie, bo ma cerę takiego właśnie koloru. Przytem podobny jest do trupiej głowy. We mnie budził poprostu fizyczny wstręt. Fi! jak mi to popsuło Anielkę. Wiem doskonale, że ona za Kromickiego i jego zamiary nie może odpowiadać, ale jednak popsuło mi to ją bardzo.

Nie rozumiem, dlaczego matka jej opowiadała mi o tem tak obszernie, bo jeśli to miało być dla mnie ostrogą, to zupełnie chybiło celu. Ona ma swoje ogromne przymioty, ta pani P., skoro potrafiła dać sobie rady z tyloma kłopotami i jeszcze wychować tak córkę, ale jest niezręczna i nudna ze swojemi migrenami i makaronizmami.

– Ja przyznaję się – mówiła mi – że byłam za tem. Czasem upadam pod brzemieniem kłopotów; ja jestem kobieta, która się na interesach nie zna, a która, jeśli je trochę poznała, to kosztem sił, zdrowia i dlatego, że chodziło o dziecko. Kromicki jest bardzo obrotny. On ma ogromne interesa w Odesie i robi jakieś dostawy i jakieś spekulacye na nafcie w Baku – „que sais-je!” Ale to mu podobno przeszkadza, że nie jest tutejszy poddany. Otóż myślałam sobie, że gdyby się ożenił, toby oczyścił majątek Anielki, a zarazem postarałby się o zmianę poddaństwa z racyi objęcia tego majątku.

– A Anielka? – spytałem zniecierpliwiony.

– Anielka, widziałam, że nie ma do niego wielkiego pociągu, ale to takie dobre dziecko! Przytem w razie mojej śmierci, pozostałaby bez opieki, więc...

Nie wypytywałem dalej, bo mnie to drażniło więcej, niż wiem powiedzieć i chociaż rozumiem, że jeśli małżeństwo nie doszło do skutku, to jedynie przez Anielkę, jednak mam jakiś żal do niej, że pozwoliła patrzeć na siebie takiej obrzydliwej figurze, a zwłaszcza, że mogła się przez jedną sekundę wahać.

Dla mnie byłaby to kwestya nerwów. Zapominam tylko jednej

rzeczy, że nie każdy ma takie nerwy, jak ja i że Kromicki, mimo swej bibulastej cery i mimo podobieństwa do trupiej głowy, uchodzi między kobietami za przystojnego.

Ciekawym, co on za „afery” robi. Zapomniałem się spytać, czy jest w Warszawie, choć może być, że jest, bo on tu podobno co zima przyjeżdża. Co do tych interesów, powiem tylko: mogą one być świetne, wątpię jednak, czy wspierają się na trwałej i niewzruszonej podstawie. Ja nie jestem żaden spekulant i nie potrafiłbym poprowadzić żadnego giełdowego interesu, ale mam ten spryt, że wiem o tem. Jestem przytem człowiekiem, który dużo obserwuje i dość łatwo wyprowadza wnioski. Owoż nie wierzę w naszych szlachciców, mających niby genialne głowy do spekulacji. Obawiam się, że obrotność Kromickiego nie jest zdolnością odziedziczoną lub wrodzoną, tylko newrozą, która poszła w tym kierunku. Widziałem podobne przykłady. Wyradza się czasem ni stąd, ni zowąd, szlachcic-spekulant; czasem bywa nawet, że mu z początku sprzyja ślepe szczęście i że szybko robi majątek... Ale nie widziałem ani jednego, któryby przed śmiercią nie zbankrutował.

Takie uzdolnienia albo się dziedziczy, albo się nabywa, poczynając od a, b, c. Chłopaki Chwastowskiego może sobie dadzą rady, bo ojciec stracił wypadkowo wszystko i oni zaczynają od abecadła. Ale kto z gotowym majątkiem, bez tradycji handlowej, bez fachowej znajomości, rzuca się na to – ten musi szyję złamać. W szlachcicach jestto, powtarzam, pieniądze newroza. Spekulacja nie może polegać na złudzeniach,

a ile tam w tych szlacheckich spekulacjach jest ułudy, to Bóg jeden wie.

Zresztą życzę panu „von Kromicki” szczęścia.

14 Lutego

Pax! pax! pax! Już to przykre wrażenie minęło. Jak ona jednak wyczuwa wszystko, ta Anielka. Udawałem dobry humor, chociażem go nie miał, w postępowaniu mojem z nią był ledwie cień cienia różnicy, a jednak i pochwyliła to i odczuła. Dziś, przy przeglądaniu albumów, gdyśmy zostali sami, jak zresztą często zostajemy, bo nam umyślnie nie przeszkadzają, zaczęła czegoś mieszać się, mienić. Zrozumiałem w lot, że mi chce coś powiedzieć i waha się i boi. Przez chwilę przyszła mi do głowy szalona myśl, że ona mi robi wyznanie. Ale wnet przypomniałem sobie, że mam do czynienia z Polką. Taka polska smarkata, czyli, jeśli kto woli, takie królewiatko, pierwej umrze, niż pierwsze wyzna, że kocha. Łaska, jeśli zapytana, wyjąka: „tak!” Zresztą Anielka wyprowadziła mnie z błędu, bo nagle zamknęła album i zacinając się nieco ze zmieszania, spytała:

– Co tobie jest, Leonie? Bo tobie coś jest, prawda?

Począłem ją zapewniać, że mi nic nie jest i śmiać się i uspakajać, ale ona, kręcąc główką, mówiła dalej:

– Od dwóch dni widzę, że ci coś jest. Wiem, że takiego człowieka, jak ty, może byle co zrazić... i tak już rachowałam się z sumieniem, czy ja nie dałam jakiego powodu, czy czego nie powiedziałam, ale...

Tu jej troszkę głos zadrzał, spojrzała mi jednak w oczy.

– Ja ci nic nie zrobiłam złego? – prawda?

Była chwila, że miałem na języku: „Jeśli mi czego brakuje, to chyba ciebie, moja Anielko najdroższa” – ale jakiś strach, jak mówi Homer, pochwycił mnie za włosy. Nie strach przed nią, tylko przed tą klamką, która mogła zapaść. Wziąłem jednak jej rękę, pocałowałem ją i powiedziałem, jak mogłem najwesелей:

– Jesteś pocziwe i kochane stworzenie, o mnie zaś nie troszcz się, bo mi nic a nic nie jest... Prócz tego, ty jesteś gościem w Płoszowie i ja to powinienem się troszczyć, żeby ci było dobrze!

Tu znowu ucałowałem jej rękę, a nawet tym razem obie. Wszystko to można było jeszcze od biedy policzyć na karb uprzejmości krewnego – i natura ludzka jest tak nędzna, że świadomość tego, ta furtka, za którą się można było w danym razie schować, dodawała mi otuchy. Nazywam to poczucie nędznej dla tego, że mi żadna inna odpowiedzialność, jak przed sobą samym, nie grozi, a siebie przecie nie oszukam. Zresztą czuję, że nie będę odpowiadał nawet przed sobą samym, bo zmysły prowadziły mnie zawsze, dokąd same chciały, a w stosunku do Anielki jestem zupełnie pod ich władzą. Czuję ustami jeszcze w tej chwili rozkoszne dotknięcia jej ręki – i to są pragnienia poprostu bez granic. Prędzej później sam zatrzasnę tę furtkę, przez którą dziś jeszcze mógłbym uciec w pole. Ale czy istotnie mógłbym jeszcze? Tak, gdyby mi coś z zewnątrz pomogło.

Tymczasem ona najwidoczniej kocha mnie. Wszystko mnie popycha ku niej.

Dziś postawiłem sobie w ten sposób pytanie: „Jeśli to rzecz nieunikniona, dlaczego zwłóczę?”

Znalazłem taką odpowiedź: nie chcę, by mi cośkolwiek przypadło z tych wzruszeń, z tych drgnień, z tych wrażeń, z tego uroku, jaki mają niedomówione słowa, pytające spojrzenia, oczekiwanie. Chcę mój romans wysnuć do końca. Zarzucałem kobietom, że nad samo uczucie przekładają formy uczucia, a podobno i mnie chodzi o to, by się wypełniły wszystkie. Ale gdy człowiek jest już starszy, to mu o takie rzeczy chodzi. Nieraz także już spostrzegłem, że przy pewnym stopniu wyrafinowania nerwowego, my, mężczyźni, mamy kobiece charaktery. Ja obok tego jestem trochę epikurejczykiem w uczuciu.

Po rozmowie z Anielką, którą przytoczyłem poprzednio, wpadliśmy oboje w wyśmienite usposobienia. Wieczorem pomagałem jej wystrzygać abażury, bo przytem mogłem dotykać jej rąk i sukni. Przeszkadzałem jej umyślnie w tej robocie, ona rozbawiła się jak dziecko i udając dziecko, zwracała się czasem do ciotki, mówiąc tym jednostajnym a prędkim głosem, jakim skarżą się małe dziewczynki:

– Ciociu, Leon dokucza!

18 Lutego ¹

Licho poniosło mnie do Warszawy, na męskie zebranie do radcy S. Radca S. stara się usilnie zgromadzać u siebie przedstawicieli wszystkich obozów, aby za pomocą herbaty i

¹ W wydaniu Państwowego Instytutu Wydawniczego, Warszawa 1963, jest: 21 lutego. [przypis edytorski]

tartynek ułatwić porozumienie się, choć właściwie mówiąc, sam zapewne dobrze nie wie, na czym to porozumienie ma polegać. Ja, jako człowiek mieszkający prawie stale po za krajem, przyjechałem na owo zebranie, aby poznać, co się dzieje w głowach tutejszych, i przysłuchać się, jak one rozumują. Było tłumno i wskutek tego nudno, a zarazem miało miejsce to, co się zwykle dzieje na zbyt tłumnych zebraniach. Oto ludzie jednakich sposobów myślenia zbierali się w kółka w osobnych pokojach, tam sobie świadczyli wzajemnie, oddawali słusność i t. p.

Poznałem wielu radców tutejszych i przedstawicieli prasy. Za granicą wielka jest różnica między pisarzem a dziennikarzem. Pierwszego uważają za artystę i myśliciela, drugiego za procederzystę (nie umiem tego inaczej nazwać). Tu różnica ta nie istnieje i ludzi z obu tych kategorii chrzczą jednym wspólnym mianem: literat. Większość też z nich zajmuje się dziennikarstwem i literaturą. Osobiście są powszechnie porządniejszymi ludźmi od dziennikarzy zagranicznych. Nie lubię prasy i uważam ją za jedną z plag, trapiących ludzkość. Szybkość, z jaką zaznajamia ludzi z wypadkami, równoważy się pobieżnością informacyi, a nie wynagradza tego niesłuchanego zbałamucenia opinii publicznej, jakie każdy, kto się nie uprzedza, musi dostrzedz. Dzięki gazetom, znikł ten zmysł, na mocy którego ludzie odróżniali prawdę od fałszu, zanikło poczucie słusności, poczucie prawa i bezprawia, zło stało się bezczelnem, krzywda poczęła przemawiać językiem sprawiedliwości, słowem: ogólna dusza ludzka stała się

niemoralna i oślepta.

Był też, między innymi, na tem zebraniu Stawowski, którego uważają za najlepszą głowę w obozie skrajnie postępowym. Mówił, jak człowiek zdolny, ale zarazem chory na dwie choroby: na wątrobę i na własne „ja”. Nosi on to swoje **ja**, jak szklanekę pełną wody – i ciągle zdaje się mówić: „Ostrożnie, bo się rozleje!” Ten strach udziela się przez suggestyę otoczeniu do tego stopnia, że nikt nie śmie przy nim być innego zdania. Powaga jego polega także na tem, że wierzy w to, co mówi. Tego człowieka niesłusznie mają za sceptyka. Przeciwnie, jestto temperament, jaki musieli miewać dawniejsi fanatycy. Stawowski, gdyby się urodził sto kilkadziesiąt lat temu i zasiadał w trybunale, byłby tak samo skazywał ludzi za bluźnierstwa na wyrwanie języka przez kark, jak to czyniono wówczas. Dziś podstawiło się w ten fanatyzm co innego – dziś wypełnił się nienawiścią do tego, co byłby dawniej kochał, ale zresztą pozostał taki sam.

Co zauważyłem, że nasi konserwatyści otaczali Stawowskiego, mniejsza, że z ciekawością ale z pewną czujną kokieterią. U nas, a może i wszędzie, partya ta mało ma odwagi. Każdy zbliżał się do Stawowskiego z oczyma słodkimi, jak figi, i z frazesem, jakby wymalowanym na czole: „Jakkolwiek jestem, panie, konserwatystą, jednakże...” I to **jednakże** było bramą jakiejś skruchy, a zarazem i wszelkiego rodzaju ustępstw. Było to tak wyraźne, że gdy ja, który jestem sceptykiem względem wszystkich obozów, począłem się sprzeczać ze

Stawowskim, nie jako przedstawiciel czegośkolwiek, ale poprostu jako człowiek, który w danym wypadku jest innego zdania, moja zuchwałość wzbudziła pewien podziw. Chodziło o klasy tak zwane wyzyskiwane. Stawowski jął się rozwodzić nad ich położeniem bez wyjścia, nad ich słabością, nad brakiem zdolności do obrony – i właśnie poczęło się koło niego tworzyć kółko coraz większe, gdy mu przerwałem:

– Proszę pana, czy pan przyjmujesz teorię Darwina walki o byt?

Stawowski, który jest z zawodu przyrodnikiem, chętnie przyjął rozprawę na tem polu.

– Naturalnie! – rzekł.

– To pozwól pan sobie powiedzieć, że jesteś niekonsekwentny. Bo gdybym ja, jako chrześcijanin, troszczył się o słabych, bezbronnych, uciśnionych – toby było słuszne: mnie Chrystus tak kazał; ale pan ze stanowiska walki o byt, powinienbyś sobie powiedzieć: są słabi, są głupi, więc muszą iść na łup nie tych, to tych – to jest kapitalne prawo natury – więc pał ich lichu! Dlaczego pan sobie tego nie mówisz, wytłómacz mi tę sprzeczność?

Czy, że Stawowski stropił się opozycją, do której nie jest przyzwyczajony, czy istotnie tych rzeczy nie zestawiał nigdy w myśli, dość, że na razie nie znalazł odpowiedzi, zmieszał się i nie zdobył się nawet na wyraz: altruizm, który zresztą jest dosyć czczym wyrazem.

Na ten widok poczęła się tłumna emigracja naszych

konserwatystów na moją stronę i byłbym mógł z łatwością zostać bohaterem wieczoru, gdyby nie to, że było późno, że się znudził i że chciałem wrócić na noc do Płoszowa. Powoli też zabierali się i wszyscy.

Miałem już futro na sobie i szukałem, trochę zniecierpliwiony, między futrem a surdudem binokli, które mi się gdzieś zadziały, gdy Stawowski, znalazłszy widocznie odpowiedź, zbliżył się do mnie i rzekł:

– Pan mnie pytałeś, dlaczego ja...

Alem mu przerwał, bom szukał ciągle binokli i zły byłem, nie mogąc ich znaleźć.

– Panie – rzekłem – szczerze mówiąc, kwestya jest dla mnie obojętna. Widzisz pan, że już późno, wszyscy wychodzą, a że przytem odgaduję mniej więcej, co pan mi możesz powiedzieć, zatem pozwól pan sobie życzyć dobrej nocy.

Zdaje mi się, że zrobiłem sobie w nim śmiertelnego wroga, zwłaszcza tą ostatnią odpowiedzią.

Była godzina pierwsza po północy, gdym przyjechał do Płoszowa, ale tu miałem najmiłą niespodziankę. Anielka czekała mnie z herbatą. Zastałem ją w sali jadalnej, ubraną zupełnie, tylko włosy jej były tak zaczesane, jak na noc. Z tej radości, jaką uczułem na jej widok, wnoszę, jak głęboko zakradła mi się do serca. Co to za kochane stworzenie i jaka była śliczna z tymi włosami, splecionymi nisko na szyi. I powiedzieć, że słowo z mojej strony, a za miesiąc, lub dwa, będę miał prawo porozpinać te warkocze i rozpuścić je na ramiona. Nie mogę

myśleć o tym spokojnie. Aż się nie chce wierzyć, żeby szczęście było takie łatwe.

Począłem na nią zrzędzić, że jeszcze nie śpi, ale ona odpowiedziała mi:

– Nic mi się spać nie chciało, więc uprosiłam mamy i ciotki, że mi pozwoliły czekać na ciebie. Mama sprzeciwiała się trochę, że to nie wypada, ale wytłómaczyłam, że myśmy przecie krewni – i wiesz, kto stanął po mojej stronie? – ciotka.

– Pocziwa ciotka! Napijesz się ze mną herbaty?

– Dobrze.

I zaczęła się krzątać przy nalewaniu filiżanek. Widziałem jej szybkie i zgrabne ręce, które miałem ochotę całować. Od czasu do czasu podnosiła na mnie oczy, ale spotykając się z moim wzrokiem, spuszczała zaraz powieki. Poczęła mnie wreszcie wypytywać, jak spędziłem wieczór i jakie wyniosłem z niego wrażenie? Oboje mówiliśmy przyciszonym głosem, chociaż sypialne pokoje starszych pań były daleko i nie mogliśmy ich pobudzić. Była między nami jakaś serdeczność i poufałość, istotnie, jak między krewnymi, którzy się lubią bardzo.

Opowiadałem jej, com widział i com zauważył, tak, jak się opowiada przyjacielowi. Potem mówiłem o wrażeniu wogóle, jakie towarzystwo tutejsze robi na człowieku, który przyjeżdża z dalekich stron. Słuchała mnie cicha, otwierając szeroko oczy, szczęśliwa, że ją tak wtajemniczam w moje myśli.

Potem powiedziała:

– Czemu ty, Leonie, tego nie napiszesz? Że mnie podobne

rzeczy nie przychodzą do głowy, to nic dziwnego, ale tu one nikomu nie przychodzą.

– Czemu nie piszę? – odrzekłem – z wielu, z wielu powodów, o których później ci kiedyś powiem – ale między innymi: oto może i dlatego, że nie mam przy sobie nikogo, ktoby mnie częściej tak, jak ty pytał: „Czemu ty nic nie robisz, Leonie?”

Umilkliśmy oboje. Rzęsy Anielki może nigdy jeszcze tak nisko nie opuściły się na policzki – i niemal słyszałem, niemal widziałem, jak jej serce biło pod suknią. Bo rzeczywiście mogła się spodziewać, że teraz skończę, że powiem: „Czy chcesz zostać zawsze ze mną i pytać podobnie?” Ale ja zbyt rozkoszowałem się temi pochyłościami, tem zawieszeniem wszystkiego, jakoby na nici – tem sercem, które jakby na dłoni mojej biło – więc nie chciałem jej kończyć.

– Dobranoc – rzekłem po chwili.

I to, rzeczywiście anielskie stworzenie, ani mi okazało, że je w tej chwili spotyka jakiś zawód. Wstała i z trochę smutku w głosie, ale bez cienia niecierpliwości, odpowiedziała:

– Dobranoc!

I uściskawszy sobie ręce, poszliśmy każde w swoją stronę. Lecz biorąc już za klamkę, zatrzymałem się nagle.

– Anielciu!

Zeszliśmy się znowu przy stole.

– Powiedz mi, ale tak szczerze, czy ty czasem nie zarzucasz mi w duszy, że jestem fantasta, że jestem dziwaczny człowiek?

– Nie! dziwaczny? – nie! Czasem myślę, że jesteś dziwny

człowiek, ale zaraz sobie powiadam, że tacy, jak ty, ludzie, muszą być dziwni.

– Jeszcze jedno pytanie: kiedy po raz pierwszy przyszło ci do głowy, że ja jestem dziwny człowiek?

Anielka zarumieniała się nagle. Śliczna była, gdy ten płomień tak jej zabierał policzki, czoło, szyję; po chwili odrzekła:

– Nie... to tak trudno... Tego nie potrafię powiedzieć...

– To przynajmniej, jeśli ja odgadnę, powiedz mi: „tak!” a ja ci powiem tylko jedno słowo.

– Jakie? – spytała z widocznym niepokojem.

– Karnet. Tak, czy nie?

– Tak – odrzekła Anielka, spuszczać głowę.

– Więc ci powiem, dlaczego tam napisał to, com napisał: oto dlatego, żeby coś było między nami, żebyśmy mieli odrazu jakąś wspólną naszą tajemnicę, a powtórę...

Tu pokazałem jej bukiet, który ogrodnik przyniósł z rana z cieplarni.

– A powtórę: widzisz, rozmaite kwiaty lepiej rozwijają się w jasności, więc chciałem jeszcze, żeby między nami było jasno.

– Ja cię czasem mogę nie zrozumieć – odpowiedziała po chwili milczenia Anielka – ale tak wierzę w ciebie!... tak wierzę!

...

I znów umilkliśmy oboje. Nakoniec podałem jej rękę na pożegnanie.

Przy drzwiach zatrzymaliśmy się jeszcze, odwróciliśmy się w tej samej chwili i spojrzeli na siebie. Ach! jak to źródło wzbiera

i wzbiera. Lada chwila rozleje się przez brzegi.

23 Lutego

Człowiek jest, jak morze: ma swoje przyływy i odpływy. Dziś jest dla mnie dzień odpływu woli, energii, chęci do jakiegokolwiek czynu, ochoty do życia. Przyszło to bez jakiegokolwiek powodu – ot, tak sobie! – rzecz nerwów! Ale właśnie dlatego pełen jestem gorzkich rozmyślań. Czy taki człowiek, fizycznie zmęczony, duchowo stary, ma prawo się żenić? Mimowoli przychodzą mi na myśl słowa Hamleta: „Po co masz płodzić grzeszników – idź do klasztoru!” Ja wprowadzie do klasztoru nie pójdę; potomstwo moje, moi przyszli „grzesznicy”, będą podobni do mnie, to jest nerwowi, przeczuleni, do niczego nie zdolni – słowem: geniusze bez teki – ale pal ich licho! W tej chwili mi o nich nie idzie, tylko o Anielkę. Czy ja mam prawo się z nią żenić? czy mi wolno wiązać to życie młode, świeże, pełne wiary w świat i pana Boga, z mojami zwątpieniami, z moją duchową niemocą, z moim beznadziejnym sceptycyzmem, z moją krytyką, z mojami nerwami? Co z tego będzie? Ja przecie nie zakwitnę drugą młodością duchową przy niej, nie odnajdę się; mózg mój nie zmieni się, nerwy nie okrzepną – więc co? więc ona ma zeschnąć przy mnie? Zali nie będzie to coś potwornego? Mogęż odgrywać rolę tego polipa, który wysysa ofiarę dla odżywienia się jej krwią?

Mam poprostu chmurę na mózgu. Bo z drugiej strony, jeśli tak jest, to dlaczego dałem się popchnąć aż do tej granicy, na której obecnie stoję? Cóżem robił od chwili poznania Anielki?

Oto kładłem ręce na struny jej duszy i dawałem sobie poprostu koncerta. A przecież to, co dla mnie jest sonatą „Quasi una fantasia”, to dla niej może być sonatą „Quasi un dolore”. Tak jest! wygrywam sobie na niej od rana do wieczora – i co więcej! – mimo tych wyrzutów, które sobie w tej chwili czynię, wiem, że się od tego wstrzymać nie potrafię, że będę tak samo grał jutro i pojutrze, jak grałem wczoraj i onegdaj, bo mnie to ciągnie nieprzeparcie, bo nic mnie więcej nie ciągnie w świecie, bo ja tej dziewczyny pragnę, jako kobiety, bo ją kocham. Na co się oszukiwać? – kocham!

A zatem, co robić: cofnąć się, uciec do Rzymu? – to znaczy uczynić jej zawód i unieszczęśliwić ją. Kto wie, jak głęboko zaszło w uczucie to serce. Ożenić się z nią, to znaczy poświęcić ją dla siebie i unieszczęśliwić w inny sposób. Oto koło błędne. Tylko ludzie z gatunku Płoszowskich mogą wpaść w podobne. I dyabło mała mi teraz pociecha, że takich Płoszowskich więcej jest u nas, że imię moje jest legion. Jak dalece jednak ten gatunek skazany jest na zatracenie, jak nam się, po za całą naszą nieudolnością życiową, jeszcze nie wiedzie wszystko w życiu! Toż ja taką Anielkę mogłem spotkać dziesięć lat temu, gdy jeszcze moje żagle nie były tak podobne do dziurawych worków, jak dziś.

Żeby ta poczciwa, zacna ciotka Płoszowska wiedziała, jaką ona niechcący i w najlepszej myśli wyrządziła mi krzywdę, toby się zmartwiła. Mało miałem tej tragedii, płynącej z poczucia mojej nicości, z tego mroku, w którym brodzę – mam teraz nowe:

być albo nie być – gdzie tam! – gorzej, niż to!

26 Lutego

Wczoraj jeździłem znów do Warszawy, gdzie miał się spotkać z p. Juliuszem Kw., na którego majątku jest umieszczona część kapitałów, jakie mi przypadają po matce. Pan Juliusz Kw. zaciągnął pożyczkę Towarzystwa kredytowego i chce tę sumę spłacić.

Ale niech dyabli porwą sposób, w jaki ludzie załatwiają sprawy w tym kraju. Kw. sam mnie wezwał, sam wyznaczył termin – i – czekałem go napróżno cały dzień. Wezwie jeszcze pięć razy, i jeszcze pięć razy się nie stawi. Kw. jest człowiek zamożny, sam się chce pozbyć tej sumy – i jest w stanie spłacić ją na każde zawołanie. Ale – to są u nas terminy.

Z moich własnych spostrzeżeń dawno doszedłem do wniosku, że jesteśmy jednym z najbardziej w stosunkach pieniężnych lekkomyślnych i nie szanujących terminu społeczeństw. Ja, który lubię dociekać wszelkich przyczyn, zastanawiałem się nieraz nad tym objawem – i oto, co sądzę. Podług mnie, pochodzi on stanowczo z wyłącznie rolniczego zajęcia narodu. Handlem zajmowali się u nas żydzi i ci nie mogli nas nauczyć ścisłości – rolnik zaś często musi być nierzetelnym, bo ziemia jest niesłychanie nierzetelna; musi być bezterminowym, bo ziemia jest bezterminowa. Ten jej charakter udziela się i tym, którzy w niej grzebią – wchodzi następnie w skład moralnej istoty całego społeczeństwa i powoli staje się wadą dziedziczną. Wprawdzie zrozumienie tej rzeczy nie poprawia mi humoru, bom się musiał

na cały dzień oderwać od Anielki i co więcej, grozi mi jeszcze to samo za parę dni – ale na to niema rady.

W mieszkaniu ciotki zastałem bilety Kromickiego, jeden dla mnie, dwa dla starszych pań. Obawiałem się, żeby mu nie przyszło do głowy powtórzyć odwiedzin w Płoszowie, więc, nie mając nic lepszego do roboty, poszedłem rzucić mu kartę. Na nieszczęście, był w domu i musiałem przesiedzieć u niego z pół godziny.

Zaczął od tego, że się obiecał do Płoszowa, na co odpowiedziałem, że jesteśmy tam tylko dla odpoczynku i że lada dzień jedziemy do Warszawy. Dopytywał się o matkę Anielki – i z wszelką ostrożnością, o Anielkę. Widocznie chciał mi dać do zrozumienia, że pyta zupełnie bezinteresownie, tylko jako znajomy. Jestem tak wrażliwy, że mnie i to ukłóło, ale bo też co za wstrętna dla mnie bestya! Widocznie Tatarzy Batuchana, po zwycięstwie pod Lignicą, musieli i na dzisiejszym austriackim Śląsku dużo dokazywać, bo, że te oczki Kromickiego, podobne do ziarenek kawy, są nie śląskiego pochodzenia, to niema wątpliwości.

Był dla mnie niezmiernie uprzejmy, ponieważ jestem człowiekiem zamożnym. Wprawdzie on niczego odemnie nie potrzebuje, ja mu nic nie dam i nic mu nigdy z mojej zamożności nie przyjdzie, ale on przejął się już tą czcią dla bogactwa, jaką odznaczają się finansiści. Mówiliśmy z początku o kłopotach, jakie miała, a raczej, jakie ma dotąd matka Anielki. Według Kromickiego dałoby się dużo uratować, gdyby pani P. zgodziła

się sprzedać majątek. Kromicki patrzy na ten upór, jak na czysty romantyzm – bo, żeby tego można uniknąć, toby jeszcze rozumiał, ale jeśli rzeczy pójdą, jak idą, to się musi na tem skończyć, chyba, że jaka „forsa” przyjdzie – „jeżeli forsa przyjdzie, to co innego”.

Jestto człowiek gadatliwy, więc rozgadał się ogromnie o naszym niedołęstwie. Zdaniem jego, pieniądze leżą u nas na bruku, dość się schylić. On jest najlepszym przykładem. Jego ojciec był, jak wszyscy wielcy panowie: miał tyle długów, że pozostało maximum sto tysięcy guldenów – a dziś co?

– Dziś, jeśli mi się jeden interes w Turkiestanie uda, no to mogę się zaraz potem zlikwidować. Żydzi i Grecy porobili miliony na dostawach, pytam się, dlaczego mybyśmy nie mieli robić? Nie podaję się za wzór, ale pytam się! Tam dla wszystkich dość miejsca – i dlatego się pytam!

Podług mnie, jestto człowiek, mający pewien spryt do interesów, ale ogólnie biorąc, głupi. Że jesteśmy niezaradni – stara historia; że pojedynczy jakiś człowiek może zrobić miliony na dostawach, wierzę, ale całe społeczeństwo musi pracować w domu, nie zaś szukać milionów z dostaw do Turkiestanu.

Bóg strzegł Anielkę, że nie związała życia z tym człowiekiem. Może on mieć swoje przymioty, jestto jednak zgoła inny moralny typ. Ale jeśli ona istotnie może gorzej trafić, jak na mnie, to czy powinienem się wahać?

28 Lutego

Starsze panie zaczynają się nieco niepokoić, że sprawa nie

idzie tak prędko, jakby chciały; szczególnież zżyma się zapewne w duszy ciotka, która z natury jest niecierpliwa. Łagodzi jednak wszystko i dodaje starym paniom otuchy spokój i szczęście, malujące się na twarzy Anielki. Ta wierzy mi, jak tylko wierzyć można i spogląda na mnie oczyma, w których czytam ufność bez granic. Napęłniła moją myśl tak, że jej od niej od rana do wieczora oderwać nie mogę. Pragnę jej coraz więcej. Nie chcę już koncertów – chcę jej.

4 Marca

Dzień dzisiejszy tak zakończył się dla mnie, że muszę zbierać cały spokój i zimną krew, żeby przy opisywaniu trzymać się kolejnego porządku – nie zaś poczynać od zakończenia. Jednak nie mogę wytrzymać. Oto kości są rzucone, lub tak, jak rzucone. Nie umiałbym nic napisać, gdybym przedewszystkiem tego nie napisał.

A teraz mogę zacząć. Przyjechali koło południa na wczesny obiad Śniatyńscy. Dziś w teatrze jego nowa sztuka, więc musieli wracać na wieczór do miasta. Jakkolwiek dobrze nam jest w pustelni płoszowskiej, jednak przyjazd ich ucieszył nas. Anielka ma dla niej wiele szczerzej przyjaźni – przypuszczam także, że czuła potrzebę wypowiedzenia się przed kimś ze wszystkiego, co jej się w piersiach zebrało. Pani Śniatyńska domyślała się od początku, jak rzeczy stoją i podsadzała nawet, jak mogła, swoje ramionka pod ten wóz, żeby jak najprędzej z miejsca ruszył. Zaledwie przyjechali i zaledwie zaczęła się gawęda o naszym ustroniu wiejskiem, powiedziała zaraz do ciotki:

– Ach! jak tu miło i zacisznie! Rozumiem, że i tej młodej parze dobrze tu ze sobą i że nie tęskni do Warszawy.

I ja i Anielca zrozumieliśmy doskonale, że pani Śniatyńska, nazywając nas młodą parą, nie wiek nasz ma na względzie. Zresztą powtórzyła z dziesięć razy umyślnie w czasie obiadu: to „młoda para”, to „państwo młodzi” – niby przeciwstawiając nas starszym paniom.

Tyle było jednak sympatii dla nas w spojrzeniach pani Śniatyńskiej, tyle czysto kobiecego nastawiania uszków na wszystko, co do siebie mówimy i tak było kobiecie z tem ładnie, że chętnie przebaczam jej owo poczciwe wścibstwo. Doszedłem do tego, że mnie to umyślne łączenie naszych imion raczej gładzi po sercu, niż drażni.

Anielka zdawała się także słuchać tego z przyjemnością. W jej uprzejmości dla Śniatyńskich, w tem zajmowaniu się nimi podczas obiadu, było coś takiego, że robiła istotnie wrażenie młodej gospodyni, przyjmującej po raz pierwszy miłych gości we własnym domu. W ciotce serce rosnęło na ten widok – i przez cały obiad prawiała grzeczności Śniatyńskim. Dostrzegłem przytem niesłychaną rzecz, której bym stanowczo nie wierzył, gdybym własnymi oczyma na to nie patrzył: oto pani Śniatyńskiej czerwieniła się uszy, gdy ktoś wychwala jej męża. Czerwienić się z powodu męża po ośmiu latach pożycia... nie! ... czy ja nie popisałem wypadkiem kapitalnych głupstw, pisząc poprzednio o Polkach?

Obiad zeszedł nam wybornie. Taka jedna para może narobić

małżeństw, jak maku, każdy bowiem, patrząc na nich, musi sobie powiedzieć: „E! jeśli to tak, to się żenie!” Ja przynajmniej pierwszy raz widziałem małżeństwo nie w szarym mroku prozy życia, spowszednienia, ukrywania mniej więcej obojętności, ale w takim wesołym świetle.

Anielka widocznie również widziała naszą przyszłość przez to światło; poznałem, że tak jest z jej rozjaśnionej twarzy.

Po obiedzie zostaliśmy ze Śniatyńskim w jadalnym pokoju, wiedziałem bowiem, że on rad wypija jeden i drugi kieliszek koniaku po kawie; starsze panie poszły do bocznego salonu. Anielka z panią Śniatyńską pobiegły na górę po jakieś albumy z widokami Wołynia, ja zaś począłem wypytywać Śniatyńskiego o jego sztukę, o którą był niespokojny. Rozmowa przeszła następnie na nasze dawne czasy, kiedyśmy to obaj próbowali wzlatywać na nieopierzonych jeszcze skrzydłach. Śniatyński opowiadał mi, jak stopniowo przychodziło mu uznanie, jak nieraz wątpił o sobie, i jak jeszcze często wątpi, mimo, iż się do pewnego stopnia wybił.

– Powiedz mi – spytałem – co ty robisz ze swoją sławą?

– Jaktó, co robię ze sławą?

– No, czy ją nosisz, jak mitrę na głowie, czy jak złote runo na szyi, czy to stoi na twojem biurku, czy wisi w salonie? Pytam, jak człowiek, który nie ma pojęcia, co to jest i co się z tem robi, gdy się to ma?

– Przypuśćmy, że to mam, więc ci odpowiem tak: trzeba być dyabło źle urodzonym duchowo, żeby tak zwaną sławę nosić

na głowie, na szyi, stawiać na biurko, albo wieszać w salonie. Przyznaję, że to łechce z początku miłość własną, ale tylko parweniuszowi duchowemu może takie łechtanie wypełnić życie i zastąpić wszystkie pozostałe gatunki szczęścia. Inna rzecz przeświadczenie, że to, co robię, znajduje uznanie i budzi echo – z tego publiczny człowiek może być zadowolony. Ale żeby mnie, prywatnego, miało uszczęśliwiać to, że mi ktoś w salonie powie z mniej więcej głupią miną: „Tyle przyjemnych chwil panu zawdzięczamy”, albo, że gdy zjem coś niestrawnego, to jakiś dziennik zaraz napisze: „Dzielimy się z czytelnikami smutną wiadomością, że naszego znakomitego X. X. brzuch boli” – żeby mnie to miało uszczęśliwiać? – fi! za kogo mnie masz?

– Słuchaj – rzekłem – ja także nie jestem próżny, ale człowiek chce od ludzi jakiegoś uznania. Jestto namiętność wrodzona. Dalibóg nie jestem próżny, a jednak powiem ci szczerze: gdy ludzie widzą we mnie jakieś zdolności, gdy mówią o nich, gdy ich żałują, to chociaż wówczas moja nicość staje mi wyraźniej, niż kiedykolwiek, przed oczyma – jednak to mnie cokolwiek łechce, jednak mi to sprawia jakąś – może gorzką przyjemność – ale przyjemność.

– Bo się żałujesz, w czym zresztą masz rację. Nie odwracaj kwestyi. Ja wcale nie dowodzę, żeby to mogło komuś sprawić przyjemność, gdy go nazwą osłem.

– Ale ten szacunek, który idzie za sławą?

Śniatyński, który jest bardzo żywy i który w czasie rozmowy ma zwyczaj latać po pokoju, przysiadając na wszystkich stołkach,

stołach, przysiadł tym razem na oknie i odpowiedział:

– Szacunek? Mylisz się mój kochany. My jesteśmy dziwnym społeczeństwem. U nas panuje czysto republikańska zazdrość. Ja piszę komedye, pracuję dla teatru – dobrze! zyskałem pewien rozgłos – jeszcze lepiej; otóż tych komedyi będzie mi u nas zazdrościł – myślisz, że tylko drugi komedyopisarz? – nieprawda. Będzie mi ich zazdrościł inżynier, urzędnik bankowy, pedagog, lekarz, agent kolejowy, słowem, ludzie, którzyby i tak nigdy nie pisali komedyi. Ci wszyscy, w stosunkach z tobą, będą ci okazywali, że mało sobie z ciebie robią, w rozmowach po za twojemi oczami będą cię lekceważyli, będą cię umyślnie umniejszali, żeby się przez to samo mogli więksi wydać. Jeśli kto kazał sobie u tego samego krawca surdut zrobić, to przy pierwszej sposobności ruszy ramionami i powie: „Śniatyński? wielka rzecz! ubiera się u Pacykiewicza, tak, jak i ja!” Oto, jak u nas jest – oto, co prowadzi za sobą twoja sława!

– Musi jednak ona być coś warta, skoro sobie ludzie dla niej i przez nią karki kręcą.

Śniatyński zamyślił się nieco i odpowiedział z powagą:

– W prywatnem życiu sława jest o tyle coś warta, że można z niej zrobić podnózek dla kochanej kobiety.

– Nową sławę zdobędziesz sobie tem określeniem.

Śniatyński przyleciał do mnie z wielkim impetem:

– A tak! tak! Pakuj laury w pokrowiec, ruszaj z nimi do kochanego stworzenia i powiedz mu: „**To, przez co ludzie karki kręcą, to, co mają za szczęście, cenią na równi z bogactwem,**

to ja mam, tom zdobył, a teraz stawiaj mi zaraz na tem łapy!” Jeśli to zrobisz, wówczas będziesz kochany całe życie – rozumiesz. Chciałeś wiedzieć, co jest sława warta – więc masz!

Dalszą rozprawę przerwało Śniatyńskiemu wejście żony i Anielki. Wybierały się do cieplarni.

Jednakże w tej pani Śniatyńskiej siedzi jakiś dyabełek! Przyszła niby pytać męża o pozwolenie, a gdy ów, zastrzegłszy sobie, żeby się odpowiednio ubrała, pozwolił, ona zwróciła się ku mnie i z prawdziwie kocią miną spytała:

– A pan Anielci pozwoli?

Że Anielka zaczerwieniła się po uszy, to naturalne, ale że ja, stary wyga, ostrzony, jak brzytwa, na najrozmaitszych towarzyskich paskach, zmieszałem się także w pierwszej chwili, tego sobie nie mogę darować. Nadrabiając jednak odwagę, podszedłem do Anielki, podniosłem do ust jej rękę i powiedziałem:

– Anielka tu w Płoszowie rozkazuje, a ja pierwszy gotów jestem słuchać jej rozkazów.

Miałem ochotę, byśmy ze Śniatyńskim poszli zaraz z nimi do oranżeryi, ale powstrzymałem się. Czułem potrzebę mówienia o Anielce, o mojem przyszłym małżeństwie, widziałem zaś, że Śniatyński w końcu dojdzie do tego przedmiotu. Ułatwiłem mu to nawet, spytawszy zaraz po odejściu naszych pań:

– Więc wierzysz zawsze niewzruszenie w swoje życiowe dogmaty?

– Więcej niż kiedykolwiek, a raczej zawsze jednakowo.

Niema na świecie bardziej zużytego wyrazu, jak miłość, dlatego aż przykro go powtarzać, ale tobie, we cztery oczy, powiem: miłość w znaczeniu ogólnem, miłość w znaczeniu szczegółowem – i wobec tego precz z krytyką! Tak! to są życiowe kanony. Moja filozofia polega na tem, żeby nad nimi nie filozofować – i niech mnie licho porwie, jeśli się z tego powodu uważam za głupszego od innych. Z tem, życie jest coś warte; bez tego, nie warte torby sieczki.

– Mówmy o tej szczegółowej miłości, albo lepiej zastąpmy ten wyraz wyrazem: kobieta.

– Dobrze, zastąpmy. Dobrze: kobieta!

– Mój kochany, czy nie widzisz, na jak niesłychanie kruchej podstawie opierasz osobiste szczęście?

– Na tak kruchej, jak jest życie – nic więcej.

Ale ja nie miałem na myśli tych rozłączeń, tych przepaści, które może powodować śmierć – i powiedziałem Śniatyńskiemu:

– Zlituj się, nie uogólniaj twego osobistego szczęścia. Tyś dobrze trafił, ale można i źle trafić.

Lecz Śniatyński nie chciał o tem słyszeć. Według niego, na sto razy, dziewięćdziesiąt razy trafia się dobrze. Kobiety, jego zdaniem, są lepsze, czystsze, szlachetniejsze od nas.

– My jesteśmy gałgany w porównaniu! – krzyczał machając rękoma i swoją płową czupryną. – Nic, tylko gałgany! Ja ci to mówię, który obserwuję życie i umiem obserwować, choćby dlatego, że jestem komedyopisarzem.

Tu siadł na krzesło, jak na konia i atakując mnie poręczą,

mówił dalej z niemniejszym rozmachem:

– Są, jak mówi Dumas, małpy z krainy Nod, na które niema hamulca, ale ty masz od tego oczy, żebyś małpy z krainy Nod nie brał; wogóle zaś kobieta nie zawiedzie męża, nie zdradzi, chyba, że sam w niej serce zepsuje, albo je podepcze, albo zrazi i odepchnie swoją małością, swoim egoizmem, swoją ciasnotą, swoją lichą i nędzną naturą. Kochaj przytem! Niech ona czuje się nietylko twoją samicą, ale twoją najdroższą głową, twojem dzieckiem, przyjacielem; noś ją w zanadrzu, niech jej będzie ciepło, a wówczas bądź spokojny, a wówczas co rok będzie mocniej przytulać się do ciebie, aż się zrosniecie, jak bliźnięta siamscy. Nie dasz jej tego, zepsujesz ją, zrazisz swoją lichotą – to odejdzie! Odejdzie, jak tylko jakieś szlachetniejsze ręce wyciągną się ku niej, bo musi odejść, bo ona tego ciepła, tego uznania potrzebuje, jak powietrza do oddechu.

I tak naciskał mnie poręczą, że musiałem się cofać; w ten sposób przysunęliśmy się do okna. Tam zerwał się i mówił dalej:

– Jacy wy jesteście tępi! Wobec takiej posuchy społecznej, wobec takiego braku ogólnego szczęścia, jakim odznacza się nasz wiek, wobec braku podstaw, nadziei, żeby sobie przynajmniej tego szczęścia, tej podstawy, nie stworzyć! Marznąć na forum i w domu sobie jeszcze ognia nie napalić! Głupota dalej nie idzie! A ja tobie do oczu powiadam: żeń się!...

Tu ukazał mi przez okno Anielkę, wracającą z jego żoną z oranżeryi.

– Ot, gdzie twoje szczęście! Ot, tam ono drepce w berlaczach

po śniegu! Powtarzam ci: żeń się! Na wagę złota ją bierz!
co to na wagę złota! – na karaty – rozumiesz! Ty nie masz
poprostu stałego miejsca zamieszkania, nietylko pod względem
fizycznym, ale umysłowym i moralnym; nie masz podstaw, nie
masz spokoju, ona ci to wszystko da. Tylko jej nie przefilozofuj,
jakeś przefilozofował swoje zdolności i swoje trzydzieści pięć lat
życia!

Nie mógł mi nic lepszego, zacniejszego i bardziej zgodnego
z memi pragnieniami powiedzieć, więc uścisnąłem mu rękę i
odrzekłem:

– Nie, jej nie przefilozofuję, bo ją kocham.

I uściskaliśmy się po przyjacielsku.

Tymczasem nadeszły młode panie. Śniatyńska, spostrzegłszy
nasz uścisk, rzekła:

– Wychodząc, słyszałyśmy jakieś spory, ale widzę, że się
skończyły zgodnie. Wolno wiedzieć, o czym była mowa?

– O kobietach, pani – odrzekłem.

– I co wynikło?

– Jak pani widzi: uścisk, a dalsze wyniki przyjdą niebawem.

Lecz przedtem jeszcze przyszły ich sanki. Przy krótkim dniu
miało się pod wieczór i musieli wracać, ale że pogoda była piękna
i cicha, a śnieg w alei ubity, jak posadzka, postanowiliśmy z
Anielką odprowadzić ich aż do kołowrotu przy gościńcu.

I tak się stało. Pożegnawszy tę miłą parę, wracaliśmy
do domu. Mroczyło się już, ale mieliśmy światło zorzy
wieczornej w oczy, więc twarz Anielki widziałem doskonale.

Była jakaś wzruszona. Domyślałem się, że musiały mówić bardzo otwarcie z panią Śniatyńską; może też spodziewała się, że teraz właśnie wypowiem to oczekiwane słowo? Już i mnie ono paliło wargi, ale o dziwo, ja, który sądziłem, że w sprawach uczuciowych władnę sobą, jak mało kto, ja, który się mam za artystę koncertowego, ja, który w czasie „godzin sali”, jeśli z niedostateczną zręcznością, to przynajmniej z zupełnie zimną krwią, parowałem najbardziej mistrzowskie pchnięcia – byłem teraz tak wzruszony, jak student. Co za różnica uczucia! Miałem obawę, że nie posklejam wyrazów – i milczałem.

W tem milczeniu szliśmy ku gankowi. Podałem jej rękę, bo śnieg był wyslizgany płozami sanek – i gdy się wsparła na mojem ramieniu, odczułem raz jeszcze, jaka to jest dla mnie upragniona kobieta. Po chwili uczucie to poczęło mnie przejmować dreszczem i przebiegać po wszystkich nerwach nakształt iskier.

Weszliśmy do przedsionka.

Nie było tam nikogo, nie było nawet jeszcze światła, tylko przez otwory drzwiczek od pieców przebłytykiwał płomień palącego się ognia. W mroku i w ciągłym milczeniu poczęłem zdejmować futrzany płaszczyk z Anielki i gdy nagle z pod tego płaszczyka wionęło na mnie jej ciepło, objąłem ją ramionami i przygarnąwszy do siebie, dotknąłem ustami jej czoła.

Stało się to, z mojej strony, niemal bez zeznania, co robię. Anielka musiała poprostu zdrętwieć, bo nie stawiała najmniejszego oporu. Wysunęła się jednak z moich ramion

prawie natychmiast, gdyż w drugiej sieni dały się słyszeć kroki służącego, który niósł światło. Ona uciekła do siebie na górę, ja zaś cały wzburzony wszedłem do sali jadalnej.

Każdemu mężczyźnie, obdarzonemu pewną przedsiębiorczością, trafiają się podobne chwile w życiu, więc trafiały się już i mnie – ale zwykle bywałem dość spokojny i zachowywałem zupełną świadomość siebie. Obecnie wrażenia i myśli przelatywały mi przez głowę, jakby je wiatr przeganiał. Szczęściem, jadalna sala była pusta; ciotka i matka Anielki siedziały dalej, w mniejszym saloniku.

Wszedłem tam, ale myśl moja była tak dalece gdzieindziej, że ledwie rozumiał, co do mnie te panie mówiły. Ogarnął mnie niepokój. Wyobrażałem sobie, że Anielka jest teraz w swoim pokoju i że ściska sobie skronie rękoma; starałem się wyczuć i zrozumieć, co mogło dziać się w tej chwili w jej sercu i w głowie.

Tymczasem Anielka wkrótce nadeszła. Odetchnąłem, gdyż nie wiem, dlaczego zdawało mi się, że się tego wieczora nie pokaże. Miała silne wypieki i oczy błyszczące, jakby ze snu. Widocznie starała się ochłodzić pudrem swoją rozpaloną twarz, bo ślady jego osiadły gęściej przy lewej skroni. Widok jej poruszył mnie. Poczułem, że bardzo ją kocham.

Zajawszy się jakąś robotą, siedziała ze spuszczoną głową, spostrzegłem jednak, że oddycha szybko, a raz i drugi chwyciłem jej przelotne, pytające i pełne niepokoju spojrzenie.

Więc chcąc rozprószyć ten niepokój, wtrąciłem się do rozmowy starszych pań, które mówiły o Śniatyńskich i rzekłem:

– Śniatyński zarzucał mi dziś, że ze mnie czysty Hamlet, bo zbyt filozofuję, ale ja mu dowiodę, że tak nie jest – i to nie dalej, jak jutro.

Owo „jutro” wymówiłem z przyciskiem i uważałem, że Anielka doskonale zrozumiała, bo spojrzała na mnie przeciągle, ciotka jednak, nie domyślając się wcale, o co idzie, spytała:

– To zobaczycie się jutro?

– Trzeba nam być na jego sztuce; jeśli Anielka się zgodzi, to może się jutro wybierzemy?

Kochana dziewczyna podniosła na mnie oczy zmieszane, ale pełne ufności i odrzekła z nieopisaną słodyczą:

– Ja się na wszystko z radością zgodzę!

Była chwila, żem chciał skończyć odrazu – i może powinienem był skończyć, ale że to „jutro” było już powiedziane – więc się wstrzymałem.

Mam uczucie człowieka, który przyciska sobie palcami oczy, uszy i nozdrza, aby dać nurka w głębinę.

Ale też istotnie myślę, że prawdziwą perłę znajdę na dnie tej głębiny.

6 Marca. Rzym. Casa Osoria

Od wczoraj jestem w Rzymie. Ojciec nie jest tak chory, jak się obawiałem. Lewa ręka i lewa strona ciała są nawpół sparaliżowane, ale lekarze uspokajają mnie, że serce nie jest zagrożone paraliżem i że można żyć lata całe w takim stanie.

7 Marca

Więc Anielka pozostała w niepewności, oczekiwaniu, rozterce. Ale nie mogłem inaczej postąpić. Nazajutrz po bytności Śniatyńskich w Płoszowie, zatem tegoż samego dnia, w którym postanowiłem oświadczyć się Anielce i jej matce, odebrałem list z Rzymu od ojca, donoszący mi o jego chorobie: „Spiesz się, kochany chłopcze – pisał ojciec – bo chciałbym cię jeszcze uściskać przed śmiercią, a czuję, że łódź po mnie przybiła już do brzegu”. Oczywiście, po odebraniu takiego listu, wyjechałem pierwszym pociągiem i nie zatrzymywałem się aż w Rzymie. W chwili wyjazdu rozumiałem, że nie zastanę już ojca przy życiu. Próżno ciotka uspakajała mnie, że gdyby niebezpieczeństwo było nagłe, ojciec wysłałby lub kazał wysłać depeszę zamiast listu. Ja wiedziałem, że ojciec ma swoje dziwactwa, do rzędu których należała zawsze jego antypatya do telegrafów. Ciotka zresztą tylko udawała spokój, a w gruncie rzeczy była również przestraszona.

W tym pośpiechu, przerażeniu i pod grozą prawdopodobnej śmierci ojca, nie mogłem i nie chciałem się oświadczać. Byłoby czemś przeciwnem naturze i cynicznym z mojej strony szeptać czułe słowa, nie wiedząc, czy właśnie w tej chwili ojciec nie wydaje ostatniego tchnienia. Rozumieli to wszyscy, a przedewszystkiem rozumiała Anielka. Na odjezdnym powiedziałem jej: „Napiszę do ciebie z Rzymu” – na co odrzekła: „Pierwej niech ci Pan Bóg da spokój!” Ona ufa mi zupełnie. Słusznie, czy niesłusznie mam opinię człowieka lekkomyślnego względem kobiet i opinia ta musiała się odbić o uszy Anielki, ale

może właśnie dlatego drogie to stworzenie okazuje mi tem więcej ufności. Odgaduję i rozumiem, co ona myśli i czuje. Oto słyszę niemal, jak czysta jej dusza mówi do mnie: „Skrzywdzono cię; ty nie jesteś lekkomyślny, a te, które oskarżają cię o lekkomyślność, czynią to dlatego, że nie umiały cię kochać ani tak poczciwie, ani tak głęboko, jak ja kocham”. I Anielka ma słuszość. Być może, iż mam usposobienie nieco wichrowate, ale że na rozwój takiego usposobienia wpłynęła wichrowatość, czczość i jałowość uczuć, z którymi się spotykałem – to nie podpada wątpliwości. Mogło to poprostu całkiem skazić i wysuszyć mi serce – i gdyby się tak było stało, wówczas taka istota, jak Anielka, musiałaby płacić za winy innych. Ale sądzę, że jeszcze jest ratunek i że błogosławiony lekarz nie przychodzi zapóźno. Kto wie zresztą, czy kiedykolwiek bywa zapóźno i czy uczciwe i czyste serce kobiece nie posiada zawsze daru wskrzeszania umarłych?

Być może także, że serce męskie ma większą moc odradzania się. Istnieje jakieś podanie o róży jerychońskiej, która, choćby zeschnięta do cna, byle spotkała się z kroplą dżdżu, zaraz poczyna żyć i puszcza nowe liście. Zauważyłem, że w naturze męskiej leży wogóle nierównie więcej sprężystości, niż w kobiecej. Mężczyzna nieraz zbruka się w rozpuście tak bezecnej, że połowa tego jadu pokryłaby raz na zawsze śmiertelnym trądem kobiety; tymczasem syn Adamowy nietylko umie otrząsnąć się z zarazy, nietylko odzyskuje z łatwością moralne zdrowie, i świeżość, ale poprostu dziewictwo serca. Tak samo jest pod względem uczucia. Znałem kobiety z sercem

wyjałowionem do tego stopnia, że utraciły stanowczo zdolność kochania, a nawet szanowania kogokolwiek lub czegokolwiek. Mężczyzn takich nie znałem. Miłość stanowczo powraca nam dziewczęctwo.

Podobne określenia mogą wydawać się dziwne pod piórem sceptyka, ale naprzód, ja nie mam większego zaufania do swych wątpliwości, jak do wszelkiego rodzaju twierdzeń, pewników i spostrzeżeń, które ogółowi ludzi służą za podstawę życia. W każdej chwili gotów jestem zgodzić się na to, że moje wątpliwości mogą być równie dalekie od istoty rzeczy, jak te pewniki. Powtóre, to, co piszę, pod wpływem uczucia dla Anielki, która sama może nie wie, jak mądrą drogę wybrała okazując mi tę bezgraniczną ufność; jak mnie tem chwyta za serce i przykuwa do siebie. Wreszcie, czy mówię o miłości, czy o jakimkolwiek innym życiowym czynniku, mówię i piszę zawsze to, co mi się wydaje dziś. Jaki będzie mój sąd jutro – nie wiem. Ach, gdybym wiedział, że jakikolwiek mój pogląd, jakiegokolwiek przekonanie, jakakolwiek zasada, ostoi się przed jutrzejszym i pozajutrzejszym powiewem sceptycyzmu, chwyciłbym się jej oburącz, uczyniłbym z niej mój kanon – i płynąłbym, jak Śniatyński, pełnymi żaglami, i w świetle – zamiast brodzić w ciemności i pustce.

Nie chcę jednak znów wracać do mojej wewnętrznej tragedii. Co do miłości wogóle, jako sceptyk względem życia i wszystkich jego zjawisk, mogę i nad nią wymówić Salomonowe *vanitas vanitatum*, ale byłbym chyba zupełnie ślepy, gdybym

nie dostrzegł, że ze wszystkich czynników życiowych jestto najpotężniejszy i tak wszechmocny, że ilekroć o tem myślę, ilekroć ogarnę wzrokiem wieczne morze wszechżycia, staje za każdym razem poprostu w osłupieniu i podziwie nad tą wszechmocą. Są to przecie rzeczy uznane i znane tak samo, jak wschód słońca, jak przyływy i odpływy oceanu – a jednak zawsze jednakowo zdumiewające. Po Empedoklesie, który odgadł, że Eros wyłonił światy z chaosu, metafizyka nie postąpiła krokiem naprzód. Jedna śmierć jest siłą równie bezwzględną, ale w odwiecznych zapasach tych dwóch sił, miłość bierze ją za gardło i przyciska jej kolanem piersi, bije ją w dzień i w nocy, bije ją każdej wiosny, chodzi krok w krok za nią – i w kaźden dół, który ta wykopie, rzuca posiew nowego życia. Ludzie, zajęci codziennymi sprawami, zapominają lub nie chcą pamiętać, że służą tylko wyłącznie miłości. Dziwna rzecz pomyśleć, że wojownik, kanclerz państwa, rolnik, kupiec, bankier, w wysiłkach swych, nie mających pozornie najmniejszego związku z miłością, w istocie rzeczy służą tylko tej zasadzie, spełniają to przyrodzone prawo, na mocy którego ramiona męzczyzny wyciągają się do kobiety. Jakim szalonym paradoksem wydałoby się takiemu Bismarckowi, gdyby mu ktoś powiedział, że ostatecznym i jedynym celem jego zabiegów jest to, by usta Hermana spoczęły na ustach Dorotei. Mnie również wydaje się w tej chwili, że napisał paradoks, a jednak! ... jednak Bismarck pracuje nad spotęgowaniem niemieckiego życia, życie to zaś nie może potęgować się w inny sposób,

jak przez Hermana i Doroteę. Co więcej ma do roboty Bismarck, jak polityką lub bagnetem wytworzyć takie warunki, w którychby Herman i Dorotea mogli się kochać spokojnie, połączyć szczęśliwie i hodować nowe pokolenie?

Jeszcze w uniwersytecie czytałem jakąś gazetę arabską, porównującą siłę miłości do siły piekielnych kleszców. Zapomniałem nazwiska poety, ale myśl została mi w pamięci. Istotnie, w głowie się przewraca, gdy się pomyśli o tej potędze. Ostatecznie, wszystkie objawy życia są tylko różnorodnymi formami jednej i tej samej zasady. Jestto eleackie: „ἐν καὶ πᾶν”. Naprawdę ona jedna jest, ona jedna włada, ona jedna trwa, skupia, utrzymuje, tworzy.

10 Marca

Dziś zdarłem trzy lub cztery listy do Anielki. Po obiedzie poszedłem do pracowni ojca, by pomówić z nim o zamiarach ciotki. Zostałem go rozpatrującego przez powiększające szkło pełne jeszcze ziemi epilichniony, które nadesłano mu z Peloponezu. Mówiąc nawiasem, wyglądał przepysznie, w tym muzealnym, oświetlonym naprzemian przez białe i kolorowe okna pokoju, pełnym etrusków, odłamów posągów i wszelkiego rodzaju greckich i rzymskich zabytków. Wśród tego otoczenia twarz jego wydawała mi się zupełnie podobna do twarzy jakiegoś „boskiego” Platona lub innego greckiego mędrca. Z chwilą mego wejścia, przerwał robotę, wysłuchał mnie z zajęciem – poczem spytał:

– Czy ty się wahasz?

– Nie waham się, ale rozmyślałem – i chcę wiedzieć, dlaczego chcę.

– A więc ci powiem tak: byłem człowiekiem, który niemniej od ciebie lubił sobie zdawać sprawę z samego siebie i ze wszystkich objawów życia. Ale gdym poznał twą matkę, straciłem odrazu tę zdolność. Wiedziałem tylko jedno: że chcę ją mieć – i nie chciałem wiedzieć o niczym więcej.

– Więc?

– Więc, jeśli chcesz równie mocno, to siężeń. Źle mówię: jeżeli chcesz równie mocno, to się ożenisz bez niczyjej rady i pomocy, będziesz tak szczęśliwy, jak ja byłem, póki mi twoja matka nie umarła.

Na chwilę umilkliśmy. Gdybym chciał ściśle stosować do swej natury słowa ojca, nie byłbym znalazł pociechy. Kocham Anielkę niewątpliwie, nie doszedłem jednak do tego, by nie było już we mnie miejsca na żadną refleksję. Ale to nie jest zły znak – prosto tylko generacja, do której należę, posunęła się o stopień wyżej pod względem świadomości. Mam w sobie zawsze dwóch ludzi: aktora i widza. Często widz nie jest zadowolony z aktora, ale tym razem panuje we mnie między nimi zgoda.

Ojciec pierwszy przerwał milczenie:

– Powiedz mi, jak ona wygląda?

Ponieważ opis jest najniedołężniejszym sposobem malowania portretów, przyniosłem ojcu dużą i istotnie doskonałą fotografię Anielki, której począł przypatrywać się z niezmierną ciekawością.

Ja zaś przypatrywałem się niemniej ciekawie jemu, gdyż zaraz obudził się w nim artysta, a zarazem dawny, wykwinny znawca i miłośnik kobiet – dawny „Leon l’Invincible”. Oparłszy fotografię na rękawie swej biednej lewej ręki, nawpół już martwej, prawą chwycił szkło i, to zbliżając je, to oddalając, począł mówić:

– Gdyby nie pewne szczegóły, byłaby to twarz w rodzaju Ary-Scheffera... Ślicznieby wyglądała ze łzami w oczach... Są ludzie, którzy nie lubią w kobiecie anielskiego wyrazu, ale podług mnie, nauczyć anioła, jak być kobietą – to szczyt zwycięstwa... Bardzo ładna i bardzo niepospolita... „Enfin, tout ce qu’il y a de plus beau au monde – c’est la femme!”

Tu znowu począł manewrować szkłem, wreszcie dodał:

– Sądząc z twarzy, a zwłaszcza z fotografii, można się zawsze omylić, ale ja mam trochę wprawy. Otóż, podług mnie, powinna to być natura bardzo lojalna. Tak mi się zdaje... Podobne typy kochają się w czystości swych piór... Daj-że ci Boże szczęście, mój chłopcze, bo mi się bardzo podoba twoja Anielka... Obawiałem się zawsze, byś się ożenił z jaką cudzoziemką – niechże będzie Anielka!...

Zbliżyłem się do niego, a on objął prawą ręką moją szyję, uściskał mnie i rzekł:

– Cobym dał, gdybym mógł jeszcze tak samo uściskać synową!

Począłem go zapewniać, że to niechybnie nastąpi. W dalszym ciągu mówiliśmy o moim zamiarze sprowadzenia ciotki, Anielki i jej matki do Rzymu. Po oświadczeniu się listownem, mógłbym

tego wymagać, a te panie zgodziłyby się niewątpliwie na przyjazd, ze względu na ojca. W takim razie ślub odbyłby się w Rzymie – i bardzo prędko.

Ojcu podobał się niezmiernie ten plan, bo ludzie starsi i chorzy lubią widzieć naokół siebie dużo życia i ruchu. Wiedziałem także, że Anielka będzie uszczęśliwiona z takiego obrotu rzeczy, więc i sam nabierałem z każdą chwilą więcej ochoty. W tydzień mogło być wszystko przeprowadzone. Czuję, że taka energia i taka stanowczość będą trochę przeciwne mojej naturze, ale właśnie ta myśl, że się na nie zdobędę, sprawiała mi przyjemność. Przytem, jako człowiek obdarzony wyobraźnią, widziałem się już ciceronującego Anielce po Rzymie. Ci tylko, którzy tu mieszkają, rozumieją, jaką jest rozkoszą pokazywać komukolwiek zabytki tego miasta, a cóż dopiero pokazywać je kobiecie kochanej.

Rozmowę z ojcem przerwało nam nadejście państwa Davis, którzy codziennie ojca odwiedzają. On pochodzi z angielskich żydów, ona jest szlachcianką włoską, która poszła za męża dla pieniędzy. Sam Davis jestto charłak, który nadużył życia w sposób, przenoszący dwukrotnie jego marne z natury siły. Obecnie jest chory, zagrożony rozrzedzeniem mózgu, obojętny na wszystko w świecie, słowem, jeden z takich okazów, jakie widuje się w zakładach hydropatycznych. Ona wygląda, jak Junona; ma brwi zrosnięte nad czołem i kształty greckiego posągu. Nie lubię jej, bo jest jak wieża pizańska; wiecznie się pochyla, a nigdy nie upada. Rok temu czyniłem względem niej

zabiegi, ona zaś kokietowała mnie mocno, co jednak obustronnie pozostało bez rezultatu. Ojciec ma do niej nadzwyczajną słabość. Posądzałem go nawet, że się w niej kochał. W każdym razie zachwyca go, jako artystę i myśliciela, jest bowiem istotnie bardzo piękna i nad zwykłą miarę inteligentna. Prowadzą ze sobą nieskończone dysputy, które ojciec nazywa „Causeries Romaines” i znajduje w nich stałe upodobanie może i z tego względu, że takie roztrząsanie zagadnień życiowych z piękną kobietą wydaje mu się czemś czysto włoskiem, godnym czasów renesansowych i poetycznym. Ja rzadko biorę w rozprawach udział, bo nie wierzę w szczerłość pani Davis. Zdaje mi się, że ta istotnie niepospolita jej inteligencja jest inteligencją mózgu, nie duszy, że naprawdę nic ją nie obchodzi, prócz własnej piękności i własnych wygod. Spotykałem tu nieraz kobiety, które wydają się być pełne aspiracyi, a które w gruncie rzeczy na religię, filozofię, sztukę, literaturę patrzą, jak na przybory toaletowe. Od czasu do czasu ubierają się w nie, bo sądzą, że im z tem do twarzy. Przypuszczam, że w ten właśnie sposób pani Davis ubiera się czasem w zagadnienia życiowe, czasem w Grecyę i Rzym starożytny, czasem w Boską Komedycę, czasem w Renesans, w kościoły, w galerye Borgezów lub Colonnów i tym podobnie. Rozumiem, że potężne organizacje duchowe robią ze siebie środkowy punkt świata, ale w kobietach, którym chodzi o marne rzeczy, jestto egoizm i śmieszny i marny.

Zadawałem sobie pytanie, skąd się bierze przyjaźń, powiem więcej: afekt pani Davis dla ojca – i myślę, że znalazł

odpowiedź. Oto ojciec, ze swoją przepyszną głową patrycyusza-filozofa i z manierami, przypominającymi wiek XVIII, jest dla niej rodzajem „objet d’art”, a co więcej, jest wspaniałem i inteligentnym zwierciadłem, w którym pani Davis może podziwiać dowoli swój rozum i swoją piękność. Jest ona mu przytem wdzięczna za to, że patrzy na nią bezkrytycznie, że ją lubi bardzo. Być może, iż na tym gruncie wyrosło i w niej nieco przywiązania do niego, a przynajmniej że się stał jedną z jej potrzeb. Prócz tego, pani Davis ma opinię kokietki, bywając zaś codziennie u ojca, odpowiada tem samem światu: „Nieprawda, bo oto ten starzec ma lat siedemdziesiąt, nikt mnie nie może posądzić o chęć zdobycia jego serca, a jednak okazuję mu więcej uczucia, niż komukolwiek”. Nakoniec, ona pochodzi wprawdzie ze starej rodziny włoskiej, ale pan Davis, mimo swego olbrzymiego majątku, jest tylko panem Davis, więc przyjaźń z ojcem wzmacnia ich stanowisko w wielkim świecie.

Był czas, żem siebie pytał, czy czasem nie ja jestem, choć w części, powodem tych codziennych wizyt – i kto wie! W każdym razie nie moje przymioty pociągają tę kobietę, a tem mniej uczucie. Ale ona czuje, że ja patrzę na nią sceptycznie i to ją korci. Być może, iż mnie nienawidzi, ale radaby była, gdybym przed nią klęknął. Jabym to zresztą uczynił, bo ostatecznie jestto przepyszny egzemplarz ludzkiego gatunku, uczyniłbym to, choćby dla jej zrosniętych brwi i godnych Junony ramion – ale za cenę, na którą ona zgodzić się nie chce.

Zaraz po przyjściu Davisów, ojciec wszczął jakąś filozoficzną

rozprawę, która, przetaczając się z kwestyi na kwestyę, skończyła się na analizie ludzkich uczuć. Davisowa wypowiedziała kilka uwag nadzwyczaj trafnych. Z pokoju muzealnego przenieśliśmy się na wewnętrzny taras, wychodzący na nasze ogrody. Dopiero dziesiąty marca, a tu już wiosna w całej potędze. Tego roku wszystko przyśpieszone. W dzień upał; magnolie pokryte kwiatem, jak śniegiem; noce ciepłe, jak w lipcu. Jaki tu jednak inny świat, niż w naszym Płoszowie! Oddycham całą piersią. Davisowa na tym tarasie, przy świetle księżycy w pełni, była poprostu tak piękna, jak jakiś grecki sen. Widziałem, że jest pod wrażeniem tej nieopisanej rzymskiej nocy. Głos jej stał się słodszy i cichszy, niż zwykle. Być może zresztą, że jak zawsze, tak i teraz, myślała tylko o sobie i odczuwała tylko przez siebie; że ubierała się w księżyc, ciszę, zapach magnolii, jak w kapelusz, szal, etc. Ale było jej w tym stroju nadzwyczaj do twarzy. Gdyby nie to, że mam serce zajęte Anielką, byłbym pod wrażeniem tego obrazu. Mówiła przytem rzeczy, które nie każdemu mężczyźnie przyjdą do głowy.

Swoją drogą, ile razy odbywają się owe „Causeries Romaines”, zawsze mam wrażenie, że ojciec, ja, taka pani Davisowa, że wreszcie my wszyscy ludzie, należący do pewnej sfery społecznej, nie żyjemy naprawdę życiem rzeczywistym i realnym. Pod nami coś się dzieje, coś się staje, jest walka o byt, o kawałek chleba, jest życie realne, pełne mrówczej pracy, zwierzęcych potrzeb, apetytów, namiętności, codziennych wysileń – życie ogromnie dotykalne, pełne zgiełku, które huczy

i przewala się, jak morze – a my siadamy sobie oto wiecznie na jakichś tarasach, rozprawiamy o sztuce, literaturze, miłości, kobiecie, obcy temu życiu, dalecy od niego, wymazujący z siedmiu dni tygodnia sześć powszednich. My nie wiedząc o tem, mamy zamięłowania, nerwy i dusze, dobre na święto. Pograżeni w błogim dyletantyzmie, jakby w letniej kąpieli, żyjemy w pół na jawie, w pół we śnie. Przeżywając z wolna odziedziczone mienie i odziedziczony zapas sił muskularnych i nerwowych, tracimy stopniowo grunt pod nogami. Jesteśmy, jak owe puchy, które wiatr nosi. Zaledwie gdzie przypadniemy, życie realne spycha nas – i ustępujem – bo się nie czujemy na siłach, by dać opór.

Gdy o tem myślę, uderza mnie w nas tysiące sprzeczności. Oto uważamy się za wykwit cywilizacyi, za ostatni szczebel, a straciliśmy wiarę w siebie. Tylko najgłupszy z pomiędzy nas wierzą jeszcze w rację naszego bytu. W życiu szukamy instynktownie świątecznych stron, rozkoszy i szczęścia, a nie wierzymy także i w szczęście. Pesymizm nasz jest wprawdzie nikły i lekki, jak dym naszych hawańskich cygar, niemniej jednak przesłania nam on dalsze widnokreśli. W tych przesłonach w tym dymie, tworzymy świat oddzielny, oderwany od ogromu wszechżycia, zamknięty w sobie – trochę czczy i senny.

I gdyby tylko chodziło o tak zwaną arystokrację rodu lub pieniędzy, zjawisko nie byłoby zbyt ważnem. Ale do tego oderwanego świata należą mniej lub więcej wszyscy ludzie, posiadający wyższą kulturę, należy poniekąd nauka, literatura i

sztuka. Coś się stało takiego, że to wszystko nie tkwi w samej miazdze życia, ale się z niego wydziela, odrywa i tworzy osobne koła, a wskutek tego i samo w sobie więdnie i nie wpływa na złagodzenie zwierzęcości tych milionów ludzkich, które się kłębią pod nami.

Nie mówię o tem, jak reformator, bo na to nie mam dość sił. Wreszcie, co mnie to może obchodzić? Będzie, jak musi być! Chwilami jednak miewam pół jasne poczucie jakiegoś ogromnego niebezpieczeństwa, które grozi całej kulturze. Fala, która nas spłucze z powierzchni ziemi, zabierze więcej, niż ta, która spłukała świat pudrowanych peruk i żabotów. Prawda, że i tamtym ludziom, gdy ginęli, wydawało się, że wraz z nimi ginie cała cywilizacya.

Tymczasem, tak miło jest zasiąść niekiedy w ciepłą, księżycową noc na tarasie i rozmawiać przyciszonym głosem o sztuce, literaturze, miłości i kobietach, a przytem patrzeć na oświecony srebrnym blaskiem boski profil takiej kobiety, jak pani Davisowa.

10 Marca

Góry, skały i wieże, w miarę, jak się od nich oddalamy, przesłaniają się mgłą błękitną. Zauważyłem, że istnieje pewnego rodzaju mgła psychiczna, która tak samo przesłania nam osoby oddalone. Śmierć nie jest niczem innym, jak oddaleniem, ale tak niezmiernem, że istoty, choćby najukochańsze, pogrążone w niej, tracą stopniowo swą rzeczywistość, błękitnieją i stają się tylko drogimi cieniami. Zrozumiał to geniusz grecki, zaludniając

tłumem cieniów pola Elizejskie. Nie chcę wszelako nadużywać tych smutnych porównań, skoro mam zamiar pisać o Anielce. Jestem zupełnie pewny, że uczucie moje dla niej nie zmniejszyło się, a jednak jest ona dla mnie również jakąś błękitniejszą i mniej realną, niż była w Płoszowie. Nie wyczuwam jej bezpośrednio zmysłami. W porównaniu do uczucia, jakie miałem dla niej w Płoszowie, stała mi się nieco więcej ukochaną duszą, a nieco mniej upragnioną kobietą. Jest-li to lepiej, czy gorzej? Z pewnego względu lepiej, bo pożądaną kobietą mogłaby mi być nawet pani Davisowa; z drugiej strony, kto wie jednak, czy to nie jest jednym z powodów, dla których nie napisałem dotąd listu do Anielki? Niezawodnie ten profil Davisowej, który nie schodzi mi z oczu, jest wrażeniem przemijającym i bez znaczenia. Owszem, gdy porównywałm te dwie kobiety, przywiązanie moje do tamtej dziewczyny, potęguje się pewnem rozczuleniem, a mimo tego pozostawiłem ją w niepewności i przykrem oczekiwaniu. Dziś ojciec pisał do ciotki, uspokajając ją co do swego zdrowia, ja zaś dopisałem słów kilka, w których zaledwie zdobyłem się na pozdrowienie dla Anielki i jej matki. W dopisku nie mogłem wprawdzie wiele więcej powiedzieć, ale mogłem przynajmniej oznajmić, że wkrótce napiszę osobno i obszernie. Taka zapowiedź byłaby balsamem dla Anielki i dla starszych pań. Nie uczyniłem i tego, bo nie byłem w stanie. Dziś znowu mój dzień odpływu. Ochota do życia i zaufanie do przyszłości cofnęły się aż hen, na krańce, tak daleko, że ich nie widać, a widać tylko dno suche i piaszczyste. Nie mogę

się uporać z myślą, że wolno mi się żenić z Anielką tylko w takim razie, jeśli sumiennie będę przekonany, że ten nasz związek będzie zarazem aktem obustronnego szczęścia. Nie mogę także inaczej przedstawić go Anielce, czyniąc zaś to, popełnię kłamstwo, oszukam ją zanim nam stulą obwiną ręce, bo tej wiary niema we mnie samym, jest natomiast zwątpienie o życiu wogóle i niechęć do niego.

Jej źle w tem oczekiwaniu i niepewności, ale mnie gorzej – i tem gorzej, im głębiej ją kocham.

11 Marca

Pani Davisowa, której w czasie owej księżycowej „Causerie” powtórzyłem o wszechmocy miłości mniej więcej to samo, com poprzednio napisał w tym dzienniku, nazwała mnie Anakreontem, radziła przybrać się w girlandy dzikiego wina, a następnie spytała poważniej:

– Jeśli tak jest, to czemu pan grywasz rolę pesymisty? Wiara w takie bóstwo powinna czynić człowieka szczęśliwym.

Czemu?

Jej nie odpowiedziałem, ale sam wiem dobrze, czemu. Miłość zwycięża nawet śmierć, ale chroni przed nią tylko gatunek. A co mi z tego, że gatunek będzie zachowany, gdy ja, ten właśnie osobnik, który miłość odczuwa, skazany jestem na nieubłaganą i niechybną zatrutę? Nie jest-że raczej wyrafinowanem okrucieństwem taki układ, z mocy którego to uczucie, które może być odczuwane wyłącznie przez indywidualum, służy i przydaje się na coś wyłącznie gatunkowi?

Czuć w sobie drgnienia nieśmiertelnej siły i musieć umrzeć – to przecie szczyt niedoli. W rzeczywistości istnieją tylko indywidua, gatunek zaś jest pojęciem ogólnym i w stosunku do jednostki najzupełniejszą nirwaną. Rozumiem miłość do swego syna, wnuka, prawnuka, to jest właśnie do jednostek, przeznaczonych na zagładę, ale patriotyzm swego gatunku może mieć chyba albo bardzo nieszczerzy, albo bardzo głupi doktryner. Rozumiem teraz, że po Empedoklesie przyszli na świat, po upływie wieków, Schopenhauer i Hartman.

Mózg mój jest tak obolały, jak może być obolały grzbiet robotnika, noszącego ciężary nad siły. Ale robotnik, trudząc się, zarabia przynajmniej na chleb i spokój.

Przypominam też sobie bezustannie słowa Śniatyńskiego: „Tylko jej nie przefilozofuj, jak przefilozofowałeś swoje zdolności i trzydzieści pięć lat życia”. Ja wiem, że to nie prowadzi do niczego, że to jest źle – ale nie umiem nie myśleć.

13 Marca

Ojciec mój zmarł dziś nad ranem. Chorował zaledwie kilkanaście godzin...

.....

22 Marca. Peli. Willa Laura

Śmierć jest taką otchłanią, że choć wiemy, że trzeba do niej zstąpić, to jednak ilekroć zstąpi ktoś z naszych bliskich i kochanych, nam, pozostałym na brzegu, dusza się rozdziera z trwogi, żalu, rozpacz. Wszystkie rozumowania kończą się na

tej krawędzi i chce się tylko krzyknąć o ratunek, który nie może przyjść znikąd. Jedynym ratunkiem, jedyną pociechą mogłaby być wiara, ale kto nie ma tej świecy, ten może poprostu oszaleć na myśl o takiej wiecznej nocy. Dziesięć razy na dzień zdaje mi się, że to nie może być, że to niepodobna, że to byłoby zbyt straszne gdyby śmierć kończyła wszystko – dziesięć razy na dzień mam poczucie, że tak jest.

23 Marca

Kiedym przyjechał z Płoszowa, zastałem ojca tak dobrze, że ani mi w głowie nie powstało, żeby koniec miał być tak bliski. I co za dziwne zakręty ma w sobie natura ludzka. Bóg widzi, że znalazłszy go prawie zdrowym, ucieszyłem się szczerze i serdecznie, a jednak, ponieważ przez drogę nabiłem sobie głowę prawdopodobną jego śmiercią, ponieważ widziałem go już wśród świec i siebie klęczącego przy jego trumnie, więc doznałem uczucia pewnego zawodu, jakby mi żał było tego napróżnego żalu. Dziś wspomnienie o tem stało się gorzkie i dokucza mi jak wyrzut.

Jak głęboko nieszczęśliwy jest człowiek, którego serce i dusza straciły prostotę! Oto niemniej gorzkiem, niemniej podobnem do wyrzutu, jest dla mnie wspomnienie, że gdy ojciec konał, było we mnie dwóch ludzi: jeden syn, który bolał szczerze i gryzł palce, by potłumić szlochanie; drugi mędrak, który badał psychologię śmierci. Jestem niewypowiedzianie nieszczęśliwy, bo natura moja jest nieszczęśliwa.

Ojciec umierał zupełnie przytomnie. W sobotę wieczór czuł

się nieco gorzej. Posłałem po doktora, by na wszelki wypadek był w domu. Ten przepisał jakieś lekarstwo, o które ojciec począł zaraz z nim wojować, dowodząc, że środek ten może przyspieszyć atak. Doktor uspokoił mnie, oświadczywszy, że jakkolwiek, gdy chodzi o chorego, który raz miał już atak paraliżu, nigdy nie można być pewnym, czy nie przyjdzie drugi – jednakże nie sądzi, by niebezpieczeństwo było nagłe – i przypuszcza, że ojciec może pożyć nawet kilkanaście lat. O tych kilkunastu latach powiedział i ojcu, który machnął na to ręką i powiedział: „Zobaczymy!” Że jednak przez całe życie miał zwyczaj drażnić się z doktorami i dowodzić nicości medycyny, nie brałem tego do serca. Tymczasem koło dziesiątej, w czasie herbaty, podniósł się nagle i zawołał:

– Leonie! prędko do mnie!...

W kwadrans później leżał w łóżku, a w godzinę rozpoczęło się konanie.

24 Marca

Przekonałem się, że człowiek do ostatniej chwili zachowuje wszystkie cechy swego charakteru, a nawet swe oryginalności. Oto ojciec, w całej tej uroczystej powadze myśli, jaką daje zbliżanie się śmierci, okazywał jeszcze jakoby pewne zadowolenie miłości własnej, z tego, że to doktor się pomylił, nie on – i że niewiara jego w medycynę była uzasadniona. Słuchałem tego, co mówił w ostatnich godzinach, a prócz tego czytałem myśli w jego twarzy. Było w nich przejęcie się ważnością chwili, była ciekawość, jakie też jest to drugie życie,

ani cienia wątpliwości, że ono może nie istnieć – natomiast trochę niepokoju, czy go tam dobrze przyjmą, w połączeniu z jakąś bezwiedną, powiem: naiwną pewnością, że jednak nie przyjmą go, jak byle kogo. Ja nie będę tak umierał, bo nie mam takich podstaw życiowych, które mi by wystarczyły nawet w godzinę śmierci. Ojciec rozstawał się z życiem z głęboką wiarą i skrucą prawdziwego chrześcijanina. W chwili, gdy przyjmował Najświętszy Sakrament był tak czcigodny i tak po prostu święty, że obraz jego pozostanie mi na zawsze w pamięci.

Jaki marny, jaki nędzny wydaje mi się mój sceptycyzm, w porównaniu z tą ogromną siłą wiary, która potężniej jeszcze niż miłość, umie tryumfować nad śmiercią i to właśnie w chwili, gdy ta gasi życie. Po przyjęciu Komunii i ostatnim namaszczeniu ogarnęło ojca rozrzewnienie. Chwycił mocno, prawie konwulsyjnie, moją rękę i nie puszczał jej, jakby się chciał zaczepić jeszcze o życie. Ale nie czynił tego ze strachu, ni rozpaczy; nie bał się nic a nic – po chwili spostrzegłem, że oczy jego, ciągle we mnie wpatrzone, stają się nieruchome i mętne, a czoło pokrywa się jakby rosą; twarz bielą mu coraz bardziej; otworzył kilkakrotnie usta, jakby łowiąc oddech – i westchnąwszy głęboko po raz ostatni – zgasł.

Nie byłem przy balsamowaniu ciała – nie miałem na to dość sił; ale po skończeniu balsamowania, nie opuściłem zwłok ani na chwilę, bom nie chciałem, by ubierając je do trumny, postępowano z nimi, jak z rzeczą. Jaki straszny jest cały obrządek pogrzebowy: te katafalki, świece, bractwa w kapturach na twarzy, śpiewy!

Do tej pory mam jeszcze w uszach: „Anima ejus” i „Requiem aeternam”. Wieje z tego istotnie ponury i przestraszny duch śmierci! Zwłoki wyprowadziliśmy z Santa Maria Maggiore – i tam ostatni raz rzuciłem wzrokiem na tę twarz drogą i wspaniałą. Campo Santo wygląda już, jak wyspa zielona. Wiosna tego roku bardzo wczesna. Drzewa kwitną, a białe marmury grobowców kąpią się w słońcu. Jakie przeraźliwie smutne zestawienie tego budzącego się życia, tej zieleni, słońca i zgiełku ptactwa – z pogrzebem. Tłumy ludzi szły aż na cmentarz, bo ojciec tak znany był w Rzymie ze swej dobroczynności, jak ciotka znaną jest w Warszawie. Mnie jednak drażnił ten napływ gawiedzi, na której twarzach odbijało się ożywienie i nastrój wiosenny. Tłumy, zwłaszcza we Włoszech, robią sobie ze wszystkiego widowisko – i tym razem zgromadziło je nietyle współczucie, ile ciekawość widzenia okazałego pogrzebu. Egoizm ludzki nie zna granic i jestem przekonany, że nawet ludzie moralnie i umysłowo wyrobieni, gdy towarzyszą pogrzebom, towarzyszą im z pewnym uczuciem bezwiednego zadowolenia, że to kogo innego spotkało i że nie ich grzebią.

Ciotka przyjechała, bom ją wezwał depeszą. Ale ona, ze stanowiska swej niewzruszonej wiary patrzy na śmierć, jak na zmianę w istocie swej najszcześliwszą ze wszystkich, więc przyjęła cios, jaki nas spotkał, daleko spokojniej odemnie. Nie przeszkodziło jej to wprawdzie płakać szczerze przy trumnie brata, ale nie odjęło jej pogody. Potem miała ze mną rozmowę bardzo serdeczną i pocziwą, którą jednak na razie wzięłem

na opak, czego dziś żałuję. Nie wspomniała ani słowem o Anielce, mówiła tylko o mojem przyszłym osamotnieniu – i ciągnęła mnie koniecznie do Płoszowa, upewniając, że tam mi się sieroctwo mniej wyda ciężkiem, bo znajdę kochające serca, a przede wszystkim jej stare serce, które mnie jednego kocha na świecie. Ja widziałem w tem tylko chęć prowadzenia dalej swatów, co wobec świeżej śmierci ojcowskiej wydało mi się niewłaściwem i rozdrażniło mnie mocno. Nie do życia mi teraz, nie do oświadczyn i ślubów, gdy pada na mnie jeszcze cień śmierci. W rozżaleniu, odmówiłem stanowczo, a nawet nieco szorstko. Powiedziałem ciotce, że wyjadę w podróż, prawdopodobnie na Korfu, potem wrócę na parę tygodni do Rzymu, dla uregulowania spadku, i dopiero następnie przyjadę do Płoszowa.

Na razie nie nastawała. Odczuwając mój żal, była nawet dla mnie tak pełna słodyczy, jak nigdy. Odjechała w trzy dni po pogrzebie. Ja do Korfu nie wyjechałem, natomiast Davisowie zabrali mnie do swej willi w Peli, gdzie bawię od kilku dni. Czy pani Davisowa jest szczerą, czy nieszczerą – nie wiem i nie chcę nawet w to wchodzić, wiem tylko to, że żadna siostra nie mogłaby mi okazać więcej współczucia i troskliwości. Ze swoją zatrutą przez sceptycyzm naturą, gotówem zawsze wszystkich podejrzewać, ale gdyby się pokazało, że się mylę, będę się czuł wobec tej kobiety prawdziwie winny, bo dobroć jej dla mnie przechodzi istotnie zwykłą miarę.

26 Marca

Okna moje wychodzą na te niesłychane błękity Sródziemnego morza, zamknięte na krańcach pasmami ciemnego szafiru. W pobliżu willi, zmarszczona fala lśni się nakształt ognistej łuski, dal zaś jest gładka, cicha, jak gdyby ukojona w swym błękitcie. Łacińskie żagle rybackich łodzi bielą się tu i owdzie, raz na dzień zaś przechodzi parowiec z Marsylii do Genui, wlokąc za sobą puszystą kiść dymu, która czernieje, jak chmura nad morzem, zanim się rozejdzie i rozproszy. Wypoczynek tu ogromny. Myśl rozprasza się na podobieństwo owego dymu między dwoma błękitami i człowiek istnieje jakimś błogiem istnieniem roślinnym. Wczoraj byłem bardzo zmęczony, ale dziś wciągam pełnymi piersiami świeży powiew morski, osadzający wilgotne atomy soli na moich ustach. Bądź co bądź, ta Rywiera jest jednakże arcydziełem Boskiem. Wyobrażam sobie, jakie teraz muszą być szarugi w Płoszowie, jakie ciemności, jakie nagłe marcowe przeskoki od zimna do ciepła, od śnieżnej kaszy, sypiącej się z przelotnych chmur, do krótkich przebłyków słońca. Tu niebo świetliste, pogodne; powiew morski, który w tej chwili chłodzi mi czoło, zdaje się po prostu je całować; upajający zapach rezedy, heliotropów i róż bije przez otwarte okno z ogrodowych klombów, jak z kadzielnic. Zaczarowany kraj, „gdzie cytryna dojrzewa”, a po trochu i zaczarowany pałac, wszystko bowiem, na co mogły złożyć się miliony Davisa i wyborny smak jej, znajduje się w tej willi. Otaczają mnie arcydzieła sztuki: obrazy, posągi, nieporównane okazy ceramiki, złotnicze dzieła Benvenuta. Oczy, upojone naturą, poją się sztuką

i wzrok nie wie, gdzie ma spocząć, chyba, że spocznie na tej przepysznej pani tych wszystkich skarbów, której jedyną religią jest piękno.

Ale niesłusznie zowią ją poganką, bo powtarzam, że szczerze, czy nie szczerze, dzieli jednak mój smutek i stara się go łagodzić. Rozmawiamy całymi godzinami o ojcu i często widuję łzy w jej oczach. Spostrzegłszy, że muzyka koi moje potargane nerwy, grywa do późna w noc. Nieraz siadam pociemku w swoim pokoju, patrzę trochę bezmyślnie przez otwarte okno na podzierżgane w srebrną siatkę morze i słucham tych tonów, zmieszanych z pluskiem fal, słucham aż do zapamiętania się, aż do półsnu, w którym zapominam o rzeczywistości i jej strapieniach.

29 Marca

Nie chce mi się nawet i pisywać codziennie. Czytujemy razem „Boską Komedę”, a raczej tylko ostatnią jej część. Niegdyś bardziej mnie pociągała pełna straszliwej grozy plastyka Piekła, obecnie z lubością zanurzam się w tej świetlistej mgłę, zaludnionej jeszcze świetlistszymi duchami, która przepelnia dantejskie Niebo. Czasem zdaje mi się, że widzę wśród tych promieni znajome mi, kochane rysy, i żal mój staje się wówczas prawie słodki. Teraz dopiero zrozumiałem wszystkie piękności Nieba. Jednakże nigdy duch ludzki nie roztoczył tak szeroko skrzydeł, nie objął takich ogromów, nie zapożyczył się tak nieskończoności, jak w tym nieśmiertelnym i wielkim poemacie. Onegdaj, wczoraj i dziś, czytaliśmy w łodzi. Odjeżdżamy zwykle

bardzo daleko; wówczas, jeśli cisza jest zupełna, zsuwam żagiel i czytamy, kołysani przez fale, a raczej ona czyta, ja tylko słucham. Wczoraj całe niebo oblało się po zachodzie słońca czerwonym blaskiem; ona siedziała naprzeciw mnie i czytała, jakby natchniona, wznosząc od czasu do czasu oczy, w których odbijało się światło zorzy. W tych łunach zachodu, daleko od brzegu, na tej łodzi, widząc przed sobą tę przepiękną kobietę i słuchając Danta, miałem poprostu złudzenie, że nie żyję życiem rzeczywistym.

30 Marca

Czasem żal, który zdawał się już usypiać, budzi się we mnie z nową siłą. Chce mi się wówczas stąd uciekać.

31 Marca. Willa Laura

Myślałem dziś dużo o Anielce. Mam szczególniejsze uczucie, jakby nas rozdzieliły lądy i morza. Zdaje mi się, że Płoszów leży gdzieś w hiperborejskich krainach, na krańcu świata. Jestto złudzenie tego rodzaju, w którym osobiste wrażenia poczytuje się za przedmiotowy stan rzeczy. To nie Anielka jest daleką odemnie, tylko ja oddalam się coraz bardziej od owego Płoszowskiego, który poprzednio miał nią napełnione wszystkie myśli i serce. Nie idzie za tem, żeby uczucie moje dla niej miało zgasnąć zupełnie. Analizując je, dostrzegam jednak, że straciło ono swój charakter czynny. Przed kilku tygodniami, kochając, chciałem czegoś; obecnie, kochając, niczego nie chcę. Śmierć ojca rozproszyła skupienie mego uczucia. Tak samo

byłoby naprzykład, gdybym pisał jakieś dzieło literackie i gdyby zewnętrzne a nieszczęśliwe wypadki oderwały mnie od niego. Ale to nie dosyć! Wszystkie władze mego ducha były do niedawna napięte, jak cięciwa łuku, a teraz, pod wpływem zmartwień wielkiego znaczenia, pod wpływem tego słodkiego klimatu, tych błękitów, tego morza, które kołysze, jak do snu, przeszły w stan folgi. Żyję, jak powiedziałem, życiem roślinnym; wypoczywam, jak człowiek zupełnie utrudzony i ogarnia mnie drzemka, jak gdybym był ciągle zanurzony w ciepłej kąpieli. Nigdy nie czułem się mniej zdolnym do jakichkolwiek przedsięwzięć i sama myśl o nich jest mi przykrą. Obmyślając sobie hasło, obmyśliłbym: „Nie budźcie mnie!”

Co będzie, jak się zbudzę – nie wiem. Teraz jest mi smutno, ale dobrze: więc i nie chcę się budzić i nie poczuwam się do obowiązku. Rzeczywiście, aż mi samemu trudno sobie wyobrazić, jak daleki jestem od owego Płoszowskiego, który czuł się związanym wobec Anielki. Związany? – czem, z jakiego powodu? – co między nami zaszło? Jedno przelotne, prawie niepochwytnie dotknięcie ustami jej czoła – dotknięcie, które aż nadto dobrze może być między tak bliskimi krewnymi usprawiedliwione stosunkiem rodzinnym... To są śmieszne skrupuły. Czy to ja na takie węzły wiązywałem nieraz stosunki, których zerwanie nie sprawiało mi potem żadnych wyrzutów? Gdybym nie był jej krewnym – nie mówię! Ona wprawdzie inaczej wówczas rozumiała – ja, który nie oszukuję się nigdy, wyznaję, że także rozumiałem inaczej, ale... A więc, niech

i tak będzie! niech mam tę szpilkę w sumieniu. Mało-ż to na świecie spełnia się w każdej godzinie występków, wobec których ten zawód, jaki sprawilem Anielce, wydaje się istnem dzieciństwem? Sumienie może się zajmować podobną winą tylko w takim razie, gdy pozwala sobie wprost na zbytek, nie mając nic lepszego do roboty. Tego rodzaju występki mają się tak do prawdziwych, jak nasze próżniacze rozmowy na tarasach do trudnej i ciężkiej rzeczywistości życia.

Zresztą nie przewiduję, co będzie, tylko przedewszystkiem chcę teraz spokoju i wolę o niczem nie myśleć. „Nie budźcie mnie!” Dziś przy obiedzie była mowa, że w połowie kwietnia, gdy poczną się upały, opuścimy Peli i pojedziem do Szwajcaryi. Nawet i to mnie przestrasza. Zdaje się, że biednego Davisa żona będzie musiała umieścić w jakimś zakładzie. On poprostu ma początki pomieszania. Po całych dniach milczy i patrzy w ziemię, od czasu do czasu tylko spogląda na swe paznogie, bo ma stałą obawę, że mu odpadają. Są to skutki szalonego życia i morfiny.

Kończę pisać, zbliża się bowiem godzina naszej przejażdżki po morzu.

2 Kwietnia

Wczoraj była burza. Wicher południowy, spędził chmury, jak tabun koni. Czas jakiś targał je i szarpał, zganiał i rozganiał pod niebem, potem wziął je pod siebie i zwałił z całych sił na morze, które pociemniało w mgnieniu oka, jak twarz człowieka w gniewie i poczęło na odwet ciskać pianą do góry. Istna

walka dwóch wściekłości, które uderzając na siebie wzajem, wydają grzmoty i błyskawice. Ale wszystko to trwało krótko. Nie jeździliśmy jednak na naszą zwykłą wycieczkę – fale zbyt były rozkołysane. Patrzyliśmy natomiast na burzę z oszklonego balkonu, a czasem patrzyliśmy na siebie. Trudno łudzić się dłużej. Między nami coś się staje, coś się poczyna dzieć. Żadne z nas nie wyrzekło ani słowa, wychodzącego po za granicę zwykłej przyjaźni, żadne nie wyznało nic; a jednak, gdy odzywamy się do siebie, czujemy, że słowa nasze są tylko zagadywaniem czegoś innego. Tak samo się dzieje, gdy jeździmy na morze, gdy czytamy razem, gdy słucham jej grającej. Wszystkie te czynności nasze wydają się jak pozory, jak nieszczerze formy zewnętrzne, pod którymi ukrywa się i czai jakaś inna tajemnicza istota rzeczy, dotąd niema i z osłoniętą twarzą, ale zawsze obecna, chodząca jak cień za nami. Żadne z nas nie chce dotąd jej nazwać – czujemy jednak ciągle jej obecność. Zjawisko to powtarza się prawdopodobnie stale, ilekroć mężczyzna i kobieta poczynają działać wzajem na siebie. Kiedy zaczęło się ono dla nas, nie umiem ściśle powiedzieć; wyznaję wszelako, że nie przyszło całkiem niespodzianie.

Przyjąłem gościnność Davisów, bo ona była przyjaciółką ojca i okazała mi tyle współczucia po jego śmierci, jak nikt w Rzymie. Posiadam jednak tyle świadomości i tak się umiem dzielić, że zaraz po przybyciu tutaj, pomimo świeżej boleści, miałem poczucie, że między mną i tą kobietą przyjdzie do jakichś zmian w stosunku. Oburzałem się na siebie, że niemal

nazajutrz po śmierci ojca mogę znaleźć w myśli miejsce na podobną świadomość, alem ją miał. Dziś sprawdzają się tylko moje przewidywania. Jeślim się przytem wyraził, że nasz zmieniony stosunek ma osłoniętą twarz, to tylko dlatego, że nie wiem, kiedy przełom nastąpi i w jakiej formie – ale treści domyślam się i jestem pod urokiem tych domysłów. Byłbym też naiwny, gdybym przypuszczał, że ona ma mniej pod tym względem świadomości odemnie. Prawdopodobnie ma więcej. Prawdopodobnie ona kieruje temi zmianami i wszystko, co się dzieje, dzieje się z jej woli i chłodnego rozmysłu. Dyana Łowczyni rozciąga sieci na zwierza! Ale co mi to szkodzi? co mam do stracenia? Jak każdy prawie mężczyzna, jestem tego rodzaju niebezpieczną zwierzyną, która pozwala polować na się tylko dlatego, by sama mogła, w stosownej chwili, rzucić się na myśliwca. W takich wypadkach wszyscy mamy dość energii. Są to zapasy, w których z natury rzeczy zwycięstwo musi pozostać przy nas. Wiem doskonale, że Davisowa mnie nie kocha, ale i ja jej nie kocham. Oddziaływanie nasze wzajem na siebie jest w najlepszym razie oddziaływaniem dwóch pogańskich natur, wysoce artystycznych i zmysłowych. W niej gra także i miłość własna, ale to tem gorzej dla niej, bo w takiej grze można się zapamiętać i dojść tam, dokąd miłość prowadzi.

Ja nie zajdę za daleko. W uczuciach moich dla niej niema wcale ani przywiązania, ani tkliwości, jest tylko zachwyty dla arcydzieła i pociąg, naturalny w mężczyźnie, gdy podziwiane arcydzieło jest żywą kobietą. Ojciec mówił, że szczytem

zwycięstwa dla nas jest zmienić anioła w kobietę; ja sędzę, że nie mniejszym tryumfem dla mężczyzny byłoby uczuć owinięte koło swej szyi ciepłe ramiona florenckiej Wenus.

Pod tym względem ta kobieta jest ostatniem słowem tego, czego wyobraźnia najbardziej wyrafinowana i najbujniejsza może pożądać. Jestto Fryne. Można stracić istotnie zmysły, gdy się ją widzi, naprzykład, w amazonce, tak opiętej, że wszystkie kształty jej ciała są prawie równie widoczne, jak kształty posągu. Na łodzi, czytając Danta, wygląda, jak Sybilla – i rozumie się wówczas świętokradzką namiętność Nerona! Jest tak piękna, że niemal złowroga w swej piękności. Tylko zrosnięte czarne brwi czynią z niej współczesną, dzisiejszą kobietę – ale drażnią tem więcej. Ma ona zwyczaj, poprawiając włosy, zakładać obie dłonie w tył głowy; wówczas ramiona jej się podnoszą, cała postać wygina się, pierś podaje się naprzód – i trzeba wysiłku woli, by jej nie porwać, nie unieść na rękach i nie zanieść daleko od ludzkich oczu.

W każdym z nas siedzi ukryty Satyr. Co do mnie, jestem, jak powiedziałem, człowiekiem wyjątkowo wrażliwym – to też, gdy pomyślę, że między mną a tym żywym posągiem Junony zaczyna się coś dziać, że jakaś siła popycha nas nieubłaganie ku sobie, doznaję nieledwie zawrotu głowy i pytam się, co doskonalszego może mnie spotkać w życiu?

3 Kwietnia

Ile tylko kobieta może okazać współczucia i troskliwości przyjacielowi, którego spotkała ciężka strata, tyle mi ich

ona okazuje. A jednak, dziwna rzecz, dobroć ta sprawia mi wrażenie księżycowego światła: ma blask – bez ciepła; posiada wszystkie udoskonalone formy, tylko brak jej duszy; płynie z postanowienia, nie z natury. Mówi przezemnie znów sceptyk, ale ja się nigdy tak nie upoję, żebym miał w tem upojeniu zatracić nawet swą zdolność spostrzegawczą. Gdyby ta bogini była dobrą, byłaby dobrą dla wszystkich. Tymczasem – naprzykład stosunek jej z mężem nie pozostawia mi co do jej serca żadnych złudzeń. Nieszczęśliwy Davis ma wprawdzie i krew tak wystygłą, że mu zimno nawet na skwarze słonecznym, ale też jakże mu zimno przy niej! Nie widziałem w niej nigdy iskry współczucia dla jego nędzy. Ona go po prostu nie widzi i nie uznaje. Ten milioner chodzi wśród przepychu, jaki go otacza, taki biedny, aż litość bierze. Jest on niby zobojętniały na wszystko, ale człowiek, póki ma choć trochę przytomności, odczuwa jednak dobroć. Najlepszym tego dowodem, iż Davis okazuje mi pewną wdzięczność za to tylko, iż czasem rozmawiam z nim o jego zdrowiu.

Może też kieruje nim ten bezwiedny pociąg, na mocy którego istota słaba i bezradna garnie się do silniejszej? Ja, istotnie, gdy widzę jego kredową twarz, nie większą od mojej pięści, jego nogi podobne do lasek, jego drobną postać, otuloną nawet w upały, ciepłym pledem, lituję się nad nim szczerze. Nie chcę wszelako nawet przed sobą udawać lepszego, niż jestem. To współczucie nie powstrzyma mnie od niczego. Kleń dlatego żyje, jak powiada Szekspir, aby stał się pastwą szczupaka. Uderzało

mnie to nieraz, że gdy chodzi o kobietę, mężczyźni stają się względem siebie bezlitośni; jestto w nas szczątkowy instynkt zwierzęcy, nakazujący walkę na śmierć i życie o samicę. W takiej walce, jakkolwiek przybrała ona między ludźmi odmienną postać, biada słabszym! Nawet honor nie jest w niej hamulcem, potępia ją bezwzględnie tylko jedna religia.

12 Kwietnia

Nie pisałem blisko dziesięć dni. Przełom nastąpił już od tygodnia. Spodziewałem się z góry, że to będzie miało miejsce na morzu. Tego rodzaju kobiety, jak Laura, nawet w chwilach zapomnienia, nie zapominają o odpowiednim tle. Jeżeli bowiem nawet dobre uczynki spełniają tylko dlatego, że im z tem pięknie, tembardziej potrzeba im piękna w upadku. Łączy się z tem zamiłowanie nadzwyczajności, które płynie nie z poezyi, tkwiącej w ich duszach, ale z chęci przyozdobienia się wszystkim, co tylko może być ozdobą. Nie straciłem głowy tak dalece, abym miał zmienić swe zdanie o Laurze, lubo doprawdy, nie wiem, czy ona nie ma prawa być taką, jak jest i uważać, że nawet słońce i gwiazdy istnieją tylko dlatego, by mogła się w nie ubrać. Bezwzględna piękność musi być z natury rzeczy niezmiernym egoizmem, który podporządkowuje sobie wszystko. Laura jest wcieleniem takiej piękności i nikt niema prawa wymagać od niej więcej nad to, by była zawsze i wszędzie piękna – ja przynajmniej nie wymagam więcej...

Błogosławię moją biegłość żeglarską, dzięki której w wycieczkach naszych na łodzi możemy być sami. Tydzień temu

Laura powiedziała mi w czasie największego upału, że chce jechać na morze. Ona kocha się w skwarze słonecznym, jak Hekate. Lekki powiew odepchnął nas wkrótce dość daleko od brzegu i ucichł nagle. Łaciński nasz żagiel opuścił się wzdłuż masztu. Blaski słońca, odbijając się o wygładzoną, nakształt lustra, toń, powiększały jeszcze znój dnia, choć godzina była popołudniowa. Laura rzuciła się na indyjskie maty, wyścielające dno statku i wsparłszy głowę na poduszkach, pozostała bez ruchu, zanurzona w czerwcowym świetle promieni, precedzonych przez baldachim łodzi. Opanowało mnie dziwne lenistwo, a jednocześnie, na widok tej kobiety, której greckie kształty rysowały się pod lekką odzieżą, przejmował mnie dreszcz zachwytu. I w niej była jakaś ociężałość; oczy miała zamglone, usta w pół otwarte, w całej postaci niemoc i bezwładność. Gdym ogarniał ją wzrokiem, przymykała powieki, jakby mi chciała powiedzieć: „Otom jest słaba...”

Późno bardzo wróciliśmy do willi i ten nasz powrót pozostanie mi długo w pamięci. Po zachodzie słońca, w czasie którego niebo i morze stopiły się w jeden blask bez granic i rozdziału, nastąpiła noc tak cudna, że drugiej podobnej nie widziałem nigdy na Rywierze. Z toni podniósł się ogromny czerwony księżyc i nasycił ciemności łagodnym światłem, a zarazem rzucił na morze lśniący, szeroki gościniec, po którym płynęliśmy do brzegu. Morze wzdymało się lekko zwykłym nocnym ruchem, podobnym do głębokich westchnień. Z małego portu dochodziły nas głosy ligurskich rybaków, śpiewających chórem

pieśni. Powiew wstał znowu, ale szedł od lądu, niosąc zapach pomarańczowego kwiatu. Jakkolwiek nie umiem zatopić się całkowicie w żadnym wrażeniu, byłem jednak pod czarem owej niezmiernej słodyczy, unoszącej się nad lądem i nad morzem, osiadającej, jak rosa na przedmiotach i na duszach. Chwilami patrzyłem na tę piękną, jak Helena, kobietę, która bielila się przedemną w świetle księżyca i miałem złudzenie, że żyjemy w greckich czasach, że płyniemy gdzieś do świętych gajów oliwnych, w których spełniają się tajemnice Eleuzyjskie. Uniesienia nasze wydawały nam się nietylko porywem zmysłów, ale jakimś kultem, jakimś mistycznym związkiem z tą nocą, z tą wiosną, z całą naturą.

15 Kwietnia

Przyszedł termin naszego wyjazdu, ale nie wyjeżdżamy. Moja Hekate nie boi się słońca; Davisa ono leczy, a mnie tak samo będzie w Szwajcaryi, jak jest tu. Przychodzi mi dziwna myśl do głowy; nieco się przed nią wzdragam, ale wypowiadam ją otwarcie: oto wydaje mi się czasem, że dusza chrześcijanina, choćby w nim źródło wiary wyschło zupełnie, nie może żyć samą pięknnością formy. Jestto dla mnie wprost smutne odkrycie, bo jeśli się sprawdzi, wówczas usunie mi z pod nóg ten grunt, na którym stoję obecnie. Ta myśl mi jednak wraca. My jesteśmy ludzie innej kultury. Dusze nasze mają pełno gotyckich strzelistości i załamania, których się nigdy nie pozbędą, a których nie miały dusze greckie. Nasze piętczą się instynktownie ku górze, ich – rozciągały się z pogodą i prostotą nad ziemią.

Ci z nas, w których kołacze się silniej, niż w innych, duch Hellady, potrzebują wprowadzić piękności do życia i poszukują jej skwapliwie, ale i ci jednak bezwiednie żądają, by Aspazyja miała oczy Beatryczy Danta. Podobne żądania tkwią i we mnie. Gdy sobie pomyślę, że to przepyszne zwierzę ludzkie – Laura – należy do mnie i będzie należało, póki zechcę, ogarnia mnie zupełna i podwójna radość: mężczyzny i czciciela piękna; a jednak czegoś mi brak i czegoś mi duszno. Na ołtarzu mojej świątyni greckiej stoi marmurowa bogini – ale mój gotyk jest pusty. Uznaję, że spotkało mnie coś, graniczącego niemal z doskonałością, nie mogę tylko obronić się myśli, że ta doskonałość wlecze za sobą cień. Sądziłem dawniej, że Goethowskie słowa: „Będziecie podobni bogom i zwierzętom” – ogarniają życie i są ostatnim wyrazem jego mądrości; teraz oto, gdy przykazanie to spełniam, czuję, że w niem brak anioła.

17 Kwietnia

Davis znalazł mnie dziś siedzącego na taburecie u nóg Laury, z głową opartą o jej kolana. Z jego bezkrwistej twarzy i przygasłych oczu nie zszedł, ani na sekundę, wyraz obojętnego przygnębienia. W swoich miękkich pantoflach, zahaftowanych indyjskimi słońcami, przesunął się cicho, jak duch, i wszedł do przyległej biblioteki. Laura była wspaniała, gdy jej źrenice zaświeciły niepohamowanym gniewem. Ja, podniósłszy się, czekałem, co nastąpi. Przyszło mi do głowy, że Davis wyjdzie może z biblioteki z rewolwerem w ręku. Miałem zamiar wyrzucić go w takim razie przez okno, razem

z jego pledem, rewolwerem i indyjskimi pantoflami. Ale nie wyszedł. Czekałem długo i napróżno. Nie wiem, co tam robił; czy rozmyślał nad swoją nędzą, czy płakał, czy też pozostał zupełnie obojętny. Zeszliśmy się we troje dopiero przy śniadaniu i siedzieliśmy, jak gdyby nic nie zaszło. Może przez wyobraźnię tylko zdawało mi się, że Laura ciska na niego groźne spojrzenia, w apatyi zaś jego jest jakiś wyraz boleśniejszy, niż zwykle. Wyznaję, że takie rozwiązanie sprawy było mi bardziej przykre, niż każde inne. Twarz tę widziałem przez cały dzień i teraz oto staje przedemną, jak niemy wyrzut. Nie jestem zawadyką, ale gotów jestem odpowiadać za to, co czynię; ostatecznie jestem szlachcicem i wolałbym, żeby ten człowiek nie był takim małym, chorym, bezbronnym, słowem: takim nieszczęśliwym cherlakiem. Doznaję paskudnego uczucia, jak gdybym wypoliczkował paralytyka – i rzadko kiedy czułem do siebie taki niesmak.

Pojechaliśmy jednak, jak zwykle, na morze, nie chciałem bowiem, by Laura myślała, że nie śmiem tego uczynić ze względu na Davisa; ale tam po raz pierwszy zaszło między nami nieporozumienie. Wypowiadałem się jej z moich skrupułów, gdy zaś zaczęła je wyśmiewać, powiedziałem jej wprost:

– Nie jest ci do twarzy z tym śmiechem, a pamiętaj, że wolno ci wszystko czynić, z wyjątkiem tego, co ci nie do twarzy.

Wówczas ona zmarszczyła swoje zrosnięte brwi i odrzekła z goryczą:

– Po tem, co między nami zaszło, jeszcze bezkarniej możesz

ubliżyć mnie, niż Davisowi.

Wobec tego rodzaju wymówki nie pozostawało mi nic, jak ją przeprosić, to też wkrótce zapanowała między nami zgoda i Laura poczęła mówić o sobie. Miałem raz jeszcze dowód jej bystrości. Wogóle, ile znałem kobiet, wszystkie w pewnych warunkach okazywały nieprzezwykłą chęć opowiadania swoich dziejów. Nie biorę im tego za złe, bo dowodzi mi to tylko, że odczuwają one potrzebę usprawiedliwienia się we własnych i naszych oczach, której my nie odczuwamy zupełnie. Swoją drogą, nie spotkałem nigdy kobiety ani tak rozumnej, by w owych wyznaniach zachowała odpowiednią artystyczną miarę, ani tak prawdomównej, by nie pozwoliła sobie kłamać dla lepszego usprawiedliwienia siebie. Powołuję się w tem na świadectwo wszystkich mężczyzn, którzy przy sposobności mogą zarazem potwierdzić, że podobne dzieje upadku są zawsze bajecznie do siebie podobne, zatem niepospolicie nudne. Laura poczęła mówić o sobie także z pewnem skwapliwym zadowoleniem, ale na tem ograniczyło się jej podobieństwo do innych upadłych aniołów. W tem, co mi mówiła, było może nieco pozy na oryginalność – żadnej na ofiarę. Wiedząc, że ma przed sobą sceptyka, nie chciała narażać się na pobłażliwy uśmiech niedowiarstwa. Szczerość jej graniczyła z zuchwałością, a graniczyłaby niemal z cynizmem, gdyby nie była swego rodzaju życiowym systemem, w którym estetyka zastępowała całkowicie etykę. Woląła, żeby życie jej miało kształty Apollina, niż garby poliszynela – oto jej filozofia! Za Davisa poszła nie wprost dla

jego milionów, ale dlatego, żeby za pomocą ich uczynić sobie życie, o ile w mocy ludzkiej, ozdobne, i to nie w pospolitem, ale w najwyższym, artystycznym znaczeniu tego słowa. Zresztą, nie poczuwa się względem męża do żadnych obowiązków, bo go z góry o wszystkim uprzedziła; ma dla niego tyle samo litości, ile wstrętu – ponieważ zaś jest zupełnie na wszystko obojętny, więc nie potrzebuje się z nim więcej liczyć, niż jak gdyby już umarł. Dodała przytem, że wogóle nie liczy się z niczem, co sprzeciwia się piękności i ozdobie życia. Względy towarzyskie mało ją obchodzą i myliłbym się, gdybym sądził inaczej. Ojcu memu okazywała przyjaźń nie dla jego stosunków, ale dlatego, że widziała w nim arcydzieło natury. Mnie kochała oddawna. Rozumie, że więcejbym ją cenił, gdybym ją trudniej zdobył, ale nie chciała targować się z własnem szczęściem.

Dziwne wrażenie robiły na mnie tego rodzaju zasady, wygłaszane przez te cudne usta, głosem miękkim, pogodnym, pełnym metalicznych drgań. Mówiąc, ogarniała suknię wokół swych nóg, jakby chcąc zrobić obok miejsce dla mnie. Chwilami gonila oczyma przelatujące mewy, to znów zwracała je na moją twarz, ciekawa, co na niej wyczyta. Ja słuchałem z zadowoleniem jej słów, stanowiły bowiem dowód, żem tę kobietę odgadł. Było jednak w nich i coś zupełnie dla mnie nowego. Oto, mimo całego uznania, jakie miałem dla jej rozumu, sądziłem, że czyny jej są więcej instynktowe, że płyną przeważnie z jej natury; nie przypuszczałem, żeby była zdolną wymyśleć cały system dla poparcia i usprawiedliwienia popędów swojej natury. Poniekąd

uszlachetniło ją to w moich oczach, okazało się bowiem, że tam, gdzie ja podejrzewałem ją o rozmaite płaskie wyrachowania, ona postępowała tylko zgodnie ze swą zasadą – być może, złą i nawet straszną – ale, bądź co bądź, zasadą. Zdawało mi się naprzykład, że ma ukryty zamiar wyjść za mnie po śmierci Davisa – teraz dowiodła mi, że byłem w błędzie. Sama zaczęła o tem mówić. Wyznała, że gdybym zażądał jej ręki, prawdopodobnie nie miałaby siły odmówić, bo mnie więcej kocha, niż myślę (tu, jakom żyw, widziałem ciepły rumieniec, oblewający jej twarz i szyję); wie jednak, że to nigdy nie nastąpi; jest pewna, że prędzej później opuszczę ją z lekkim sercem, ale cóż stąd? Oto pogrąża ręce w wodzie i czuje chłód rozkoszny: czy dlatego ma się pozbawiać tej rozkoszy, iż wie, że za chwilę słońce wypije chłodną wilgoć z jej rąk?

Tak mówiąc, przechyliła się przez łódź, przyczem tors jej zarysował się w całej swojej niepokalanej doskonałości – i zanurzwszy dłonie, wyciągnęła je następnie ku mnie, mokre, zaróżowione, przeświecające słońcem.

Więc pochwyciłem te mokre dłonie – ona zaś, jakby do wtóru moim wrażeniom, ozwała się słodkim, pieściwym głosem:

– Pójdź!...

20 Kwietnia

Wczoraj nie widziałem Laury cały dzień, bo była niezdrowa. Przeziębła się, siedząc do późna na balkonie, następnie przeziębienie przeszło w ból zębów. Co za nuda! Na szczęście, jeszcze onegdaj wieczór przyjechał do Davisa doktor, który

odtąd zostanie stale przy nim; inaczej, nie miałbym do kogo słowa przemówić. Jestto młody Włoch, podobny do kawałka węgla, mały, czarny, z ogromną głową i bystreimi oczyma. Wydaje się bardzo inteligentny. Widocznie zaraz pierwszego wieczora rozpatrzył się w położeniu i panujących między nami stosunkach, następnie znalazł wszystko naturalnem, i bez wahania uznał we mnie właściwego pana domu. Nie mogłem wstrzymać się od śmiechu, gdy przyszedłszy dziś rano, spytał mnie, czy może „panią hrabinę” widzieć i zapisać jej lekarstwo. W tym kraju panują oryginalne obyczaje. Wszędzie gdzieindziej, gdy na zamężną kobietę pada podejrzenie, że należy do kogo innego, cały świat urządza na nią jedną wielką obławę, często pełną bezmyślnego okrucieństwa. Tu przeciwnie: panuje taka cześć dla miłości, że wszyscy stają natychmiast po jej stronie i poczynają spiskować na korzyść zakochanych. Powiedziałem Włochowi, że zapytam panią hrabinę, czy zechce go widzieć. Jakoż dziś, po śniadaniu, wtargnąłem do buduaru Laury. Przyjęła mnie niechętnie, bo twarz ma nieco nabrzmiałą i nie chciała, bym ją w tym stanie widział. I rzeczywiście, widok jej przypominał mi moje dawne lekcye rysunków. Zauważyłem wówczas, że portretując twarz nowożytną, można popełniać różne niedokładności, nawet to i owo zmienić – a jednak, byle został wyraz, byle została idea twarzy, podobieństwo nic na tem nie traci. Inna rzecz przy przerysowywaniu antyków: lada niedokładna linia, lada zboczenie, burzy harmonię twarzy i czyni ją inną. Teraz miałem tego przykład na Laurze. Obrzmienie jej

twarży było bardzo małe, zresztą prawie go nie widział, bo obracała się uparcie do mnie zdrowym profilem; ale, że oczy miała cokolwiek zaczerwienione i powieki nieco cięższe, niż zwykle, nie była to już ta sama, doskonała w swej harmonii twarz – i daleko jej było do codziennej piękności. Oczywiście, nie dałem Laurze tego poznać, ale ona przyjmowała moje pieśszoty z jakimś niepokojem, zupełnie tak, jakby ją dręczyły wyrzuty sumienia. Widocznie, wedle jej zasad, fluksya jest śmiertelnym grzechem.

Szczególne, bądź co bądź, zasady! Ja także mam niewątpliwie duszę starożytnego Greka, ale poza poganinem, jest przecie we mnie jeszcze i coś więcej. Laura może być z czasem bardzo nieszczęśliwa ze swoją filozofią. Rozumiem jeszcze, że można uczynić sobie religię z piękności w ogóle, ale czynić ją sobie z piękności własnej, jestto przygotowywać sobie nieszczęście. Co mi za religia, którą jedna fluksya podrywa, a którą pryszczyk na nosie jest mocen zburzyć do cna?

25 Kwietnia

Trzeba jednak jechać do Szwajcaryi, bo upały zaczynają być trudne do wytrzymania. Przytem od czasu do czasu, przychodzi Siroko, nakształt gorączkowego tchnienia z Afryki. Morze chłodzi wprawdzie ten oddech pustyni, jest on jednak bardzo przykry.

Davisowi szkodzi Siroko niezmiernie. Doktor pilnuje go teraz, by się nie morfinizował, bywa więc chwilami rozdrażniony do najwyższego stopnia, chwilami wpada w zupełną odrętwiałość.

Ale zauważyłem, że nawet w napadach rozdrażnienia boi się i Laury i mnie. Kto wie, czy w mózgu tego pół-waryata nie poczyna powstawać mania prześladowcza i czy nie nurtuje go już podejrzenie, że chcemy go zabić lub utopić. Wogóle stosunek do niego jest dla mnie jedną z najciemniejszych stron mojej roli. Mówię: jedną, bo zdaję sobie doskonale sprawę, że jest i wiele innych. Nie byłbym chyba sobą, gdybym nie spostrzegł, że bądź co bądź dusza moja nietylko gnuśnieje ale się szybko i stanowczo psuje w ramionach tej kobiety. Nie umiem nawet wypowiedzieć, ile obrzydzenia, goryczy i wyrzutów sprawiała mi z początku myśl, że zanurzyłem się w tę topiel uciech i zmysłowych uniesień tak bezpośrednio, tak zaraz po śmierci ojca. Oburzało się na to zarówno moje sumienie, jak delikatność moich uczuć, którą niezaprzeczenie posiadam. Było mi to tak przykre, że nie mogłem o tym pisać. Dziś zobojętniałem. Czasem sobie powtarzam wyrzuty, myślę o nich, ale naprawdę ich nie odczuwam.

O Anielce staram się zapomnieć, bo wspomnienie jej nuży mnie, a raczej nie mogę ze sobą trafić do ładu, gdy rozpamiętywam ten płoszowski epizod z mego życia. Raz wydaje mi się, że jej nie wart; drugi raz, że byłem osłem i odgrywałem poprostu śmieszna rolę przy tej dziewczynie, podobnej do tuzina innych. Drażni to moją miłość własną, skutkiem czego uczuwam jakby urazę do Anielki. Bywa tak, że jednej godziny mam jakąś niesmaczną świadomość moich win względem Anielki, w drugiej wydają mi się te winy głupie i dziecinne. Wogóle

nie zgadzam się na siebie takiego, jakim byłem w Płoszowie, ale też nie zgadzam się i na takiego, jakim jestem obecnie. Zatraca się we mnie w pewnym stopniu poczucie różnicy między złem i dobrem, a co więcej, różnica ta staje mi się obojętną. Płyne to z jakiejś gnuśności ducha – z drugiej strony jednak, gnuśność ta przychodzi mi na ratunek, gdy bowiem rozterki wewnętrzne zmęczą mnie, ona odpowie: „Przypuśćmy, że jesteś gorszy, niż byłeś – więc cóż z tego? Dlaczego masz męczyć się z jakichkolwiek powodów?”

Następnie, widzę w sobie jeszcze jedną zmianę. Stopniowo przyzwyczałem się nawet i do tego, co z początku tak drażniło mój honor – i policzkuje już teraz, mniej więcej obojętnie, paralytyka. Spostrzegłem od kilku dni, że pozwalałam sobie jednak na tysiące rzeczy, na które nigdybym się nie ośmielił, gdyby Davis, zamiast być takim fizycznym i umysłowym Łazarzem, był tęgim, umiejącym bronić swej czci i własności człowiekiem. Nie zadajemy już sobie teraz trudu jeżdżenia na morze... Wprost nie przypuszczałem, żeby moja drażliwość mogła i pod tym względem tak stępieć. Łatwo mi wprawdzie powiedzieć sobie: co mnie ten marny lewentyńczyk może obchodzić? – ale, dalibóg, nie mogę natomiast obronić się często myśli, że moja czarnowłosa bogini, z brwiami Junony, właściwie nie Juno ma na imię, ale Cyrce i że dotknięcie jej zmienia ludzi – jakby tu najmitologiczniej powiedzieć? – na wychowańców Eumeja.

A gdy zadaję sobie pytanie, w czym to leży, odpowiedź równa się bankructwu wielu moich poprzednich poglądów. Oto

miłość nasza jest miłością poprostu skóry, nie duszy. Wraca mi ciągle myśl, że nowożytny człowiek nie może na tem poprzestać. Byliśmy z Laurą podobni tylko bogom i zwierzętom, a nigdy ludziom. Właściwie nie można nawet naszych uczuć nazwać miłością, bo jedno dla drugiego jest tylko pożądaną, bynajmniej zaś nie drogą istotą. Gdyby Laura była inna i gdybym ja był inny, moglibyśmy być stokroć szczęśliwsi, ale obecnie nie miałbym tego poczucia, że dochodzę do Eumejowego schroniska. Rozumiem, że miłość, która chce być tylko duchem, zostanie tylko cieniem; ale ogołocoła zupełnie z ducha, staje się tylko upodleniem. Inna sprawa, że ludzie, dotknięci różczką Cyrce, mogą znaleźć smak w upodleniu.

Aż mi dziwno i smutno, mnie, człowiekowi typu helleńskiego, pisać takie rzeczy! Ale ogarnia mnie sceptycyzm względem mojej Hellady; poczynam wątpić, czy można żyć przeżytemi formami życia, że zaś jestem zawsze szczery, więc piszę, co myślę.

30 Kwietnia

Wczoraj spadł na mnie list ciotki. Odesłano mi go z Rzymu. Datowany jest temu dwa tygodnie i nie rozumiem, dlaczego przetrzymano go tak długo w Casa Osoria. Ciotka jest pewna, że byłem w Korfu, ale domyśla się, że musiał już wrócić i pisze mi, co następuje:

„Oczekujemy wiadomości od ciebie z wielkiem utęsknieniem i niepokojem. Ja, stara, wrosłam już silnie w ziemię i byle wiatr nie potrafi mną zachwiać, ale na Anielkę aż żal patrzeć. Ona

widocznie wyglądała listu od ciebie z Wiednia lub z Rzymu, a gdy nie nadchodził, poczęła się niepokoić. Potem, jak wiesz, przysłała śmierć twego ojca. Mówiłam umyślnie głośno przy Anielce, że teraz nie możesz o niczem innym myśleć, jak o swej stracie, ale że po kilku tygodniach otrząśniesz się z odrętwiałości i wrócisz do życia czynnego. My z Anielką nie mówimy niby otwarcie, a doskonale się rozumiemy. Widziałam też, że się bardzo uspokoiła. Lecz gdy upłynął miesiąc, a ty nie dałeś nawet znać o sobie, znowu poczęła się trapić, głównie o twoje zdrowie, ale pewnie i dlatego, żeś tak o nas zapomniał. Ja także byłam niespokojna i pisałam kilkakrotnie na Korfu, poste restante, tak, jakeśmy się umówili. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, próbuję pisać do twego domu w Rzymie, bo myśl, że możesz być chory, zatruwa nam życie. Napisz choć kilka słów – a przedewszystkiem otrząśnij się, mój drogi Leonie, z apatyi i pocznij być sobą. Będę z tobą otwarta. Do zmartwień Anielki przyczynia się i to, że ktoś nagadał tu jej matce, jako w całym świecie znany masz być ze swoich bałamuctw. Wyobraź sobie moje oburzenie! Celina w desperacji powtórzyła to córce i teraz jedna ma ciągłą migrenę, drugie biedactwo pobladło, wychudło i zmieniło się tak, aż litość bierze. A kochane to stworzenie i dobre zawsze jak anioł! Udaje wesołą, żeby matki nie martwić, ale ja widzę doskonale, co się z nią dzieje i serce mi się kraje. Mój najdroższy chłopcze, ja także nie mówiłam z tobą o tem w Rzymie, przez uszanowanie dla twojej boleści, ale takie nieszczęście, to przecie wola Boska, z którą trzeba

się zgodzić i nie opuszczać się w życiu. Czy nie mógłbyś nam napisać jakiego słowa, któreby nas uspokoiło? Zlituj się nad dziewczyną. Ja nie ukrywam przed tobą, że najmocniej życzę sobie, abyście się, po upływie twej żałoby, mogli połączyć, choćby za rok lub dwa, bo podług mnie, Anielka, to feniks. Ale doprawdy, gdyby nawet miało być inaczej, to i w takim razie byłoby lepiej, gdybyś jakim sposobem dał nam to poznać. Ty wiesz, że ja nie przesadzam nigdy i jeśli ci o tem piszę, to dlatego, że istotnie obawiam się o zdrowie Anielki. Trzeba ci przytem wiedzieć, że chodzi o całą jej przyszłość. Kromicki począł coraz częściej te panie odwiedzać, i oczywista rzecz, że on ma jakieś zamiary. Chciałam go, bez długich zachodów, po swojemu, przepędzić, tembardziej, że podejrzewam, iż to on nagadał o twoich bałamuctwach, ale Celina zaklinała mnie, bym tego nie czyniła. Ona zupełnie jest zdesperowana i nic a nic nie liczy na twoje przywiązanie do Anielki. Cóż więc miałam robić? A nuż ona ma prawdziwe macierzyńskie przeczucie? Odpisuj-że, mój Leonie, jak najprędzej, a zarazem przyjmij uściśnienia i błogosławieństwo starej kobiety, która ma jednego ciebie na świecie. Anielka chciała w swoim czasie pisać do ciebie z kondolencją, ale Celina jej nie pozwoliła, o co się z nią wyklóciłam. Celina jest najlepsza kobieta, ale często mnie gniewa. Ukłony i serdeczne pozdrowienie od wszystkich. Młody Chwastowski zakłada u nas browar. Miał coś swoich pieniędzy, a reszty mu dopożyczyłam”.

W pierwszej chwili zdawało mi się, że list ten nie robi

na mnie wrażenia; następnie zacząłem chodzić po pokoju i poznałem, że się myślę. Wrażenie zwiększało się z każdą minutą i w końcu stało się bajeczne. Po upływie godziny powiedziałem sobie ze zdziwieniem: „Co u licha, ja przecie o niczem innym nie myślę!” Rzecz zadziwiająca, z jaką szybkością ogarniały mnie najrozmaitsze uczucia, przelatujące jedno po drugim, zupełnie jakby je wiatr przeganiał na podobieństwo chmur. Do jakiego jednak stopnia jestem człowiekiem nerwowym! Naprzód chwyciło mnie rozczulenie nad Anielką. To wszystko, com niedawno jeszcze czuł dla niej, a co było jak gdyby zatajone w jakichś szczelinach mojej duszy, wyszło nagle, nakształt oparu, na jej powierzchnię. Jechać, uspokoić, utulić, uszczęśliwić – oto był pierwszy odruch, pierwszy pęd serca, daleki od jasno sformułowanej woli, ale nadzwyczaj silny. A gdym wyobraził sobie jej załzawione oczy, jej ręce w moich rękach, ów pociąg zmysłów, jaki czułem do niej, zmartwychwstał z całą mocą. Potem przebiegło mi przez myśl porównanie jej z Laurą, które musiało wypaść fatalnie dla Laury. Na razie, takie życie, jakie tu wiodłem, stało mi kością w gardle. Uczułem potrzebę czystszej powietrza, niż to, którem tu oddycham i ciszy i słodyczy i zwłaszcza: prawości uczuć. Jednocześnie opanowała mnie radość, że nic niema straconego, że wszystko da się naprawić i że zależy to jedynie od woli mojej. Nagle przyszedł mi do głowy Kromicki i matka Anielki, która, nie wierząc we mnie, widocznie stanęła po jego stronie. Na myśl o nich, porwał mnie gniew, który rosnąc stopniowo, stłumił wszystkie inne uczucia.

Im bardziej rozum mój przyznawał, że pani Celina ma wszelką słuszość nie liczyć na mnie, tem głębszą czułem do niej urazę, że sobie na taką niewiarę pozwoliła. W końcu doszedłem do jakiejś desperackiej złości przeciw sobie i wszystkim. Wszystko, com myślał i czuł, dało się zamknąć w tych kilku słowach: „Dobrze, niechże tak będzie!”

List przyszedł wczoraj; dziś analizując się spokojniej, stwierdzam wprost ze zdumieniem, że ta uraza tak głęboko zapadła mi w duszę, iż oto w tej chwili jest raczej większą, niż mniejszą. Obecnie jestto uczucie, panujące we mnie. Mówię sobie wszystko, co może sobie człowiek, trzeźwo myślący, powiedzieć, a jednak nie mogę tego Kromickiego przebaczyć nietylko matce, ale i Anielce. Bo ostatecznie Anielka potrafiłaby jednym słowem zamknąć mu drogę do Płoszowa, jeśli zaś tego nie czyni, to jest z jej strony ustępstwo dla matki, czyli, że mnie poświęca jej migrenom. Zresztą, ten Kromicki zniża w moich oczach Anielkę, szpeci ją, sprowadza ją do tego płaskiego typu panny na wydaniu. Nie mogę o tem mówić spokojnie.

Być może, iż rozumiem i czuję, jak człowiek zbyt rozdrażniony; być może, iż moja miłość własna jest rozrośnięta nad miarę; przyznaję, widzę, umiem patrzeć na siebie, jak ktoś obcy, ale to zdwojenie nic nie pomaga. Rozgoryczam się i rozdrażniam coraz więcej. Samo pisanie o tem męczy moje nerwy – więc urywam.

1 Maja

W nocy myślałem: „Może jutro będę spokojniejszy!”

Gdzietam! Wyradza się we mnie wprost zawziętość przeciw matce Anielki, przeciw Anielce, ciotce i sobie samemu. Trzeba umieć stosować wiatr do wełny jagnięcia, a nie obliczono, że moja jest dyabło cienka. Albo mi tu nie dobrze w Peli? Laura jest, jak jedna bryła marmuru. Przynajmniej się przy niej nie męczę, bo poza pięknością niema w niej nic. Ale dosyć mam tych przerafinowanych, tkliwych dusz. Niech je Kromicki pociesza.

2 Maja

Sam dziś odniosłem list na pocztę. Treść listu była taka: życzyć panu Kromickiemu szczęścia z panną Anielą, a pannie Anieli z panem Kromickim. Chciała ciotka stanowczej odpowiedzi, to ją ma.

3 Maja

Przyszło mi do głowy, czy wzmianka o Kromickim w liście ciotki nie była dyplomacją kobiecą, czy to nie miała być ostroga dla mnie? Jeśli tak, to winszuję ciotce zręczności i znajomości ludzi.

10 Maja

Upłynął tydzień. Nie pisałem, bom chodził, jak zaczadzony. Napada też mnie ciągle ogromna zgryzota i żal. Anielka nie była i nie jest mi obojętna. Przychodzą mi na myśl słowa Hamleta: „Kochałem Ofelię, jakby jej nie kochało czterdzieści tysięcy braci!” Zmieniłbym tylko ten wykrzyk tak: „Kochałem Anielkę więcej, niż czterdzieści tysięcy Laur!” I trzeba, że to z moich rąk spada na nią zło! Migoce mi chwilami pociecha, że właśnie

połączenie się z takim człowiekiem, jak ja, byłoby dla niej złem – ale to nieprawda! Gdybym ją raz miał, byłbym dla niej dobry. Truje mnie tylko podejrzenie, że może wystarczy jej i Kromicki.

Gdy o tem myślę, znów zaczyna się we mnie wszystko burzyć i gotówbym wysłać drugi taki list.

Stało się! – to jedyna pociecha dla ludzi takich, jak ja, bo mogą założyć ręce i gnuśnieć po dawnemu. Może to dowód wyjątkowej słabości, ale znajduję pewną ulgę w tem słowie.

Mogę już rozmyślać spokojniej.

Stukam się więc w głowę i zadaję sobie pytanie, jakim sposobem przyszło do tego, że człowiek, który nietylko się chełpi nadzwyczaj rozwiniętą świadomością siebie, ale rzeczywiście ją ma – przez kilka dni działał tylko za pomocą odruchów? Do czego więc służy samowiedza, jeśli przy pierwszym lepszym wzburzeniu nerwów ucieka w jakieś zakamarki mózgowie i pozostaje biernym świadkiem odruchowych czynów? Do zbadania się *post factum*? Nie wiem, co mi z tego przyjdzie, ale ponieważ nie pozostaje mi już nic innego do roboty, niechże mam z niej choć ten pożytek. Więc dlaczegom postąpił tak, jak postąpiłem? Chyba dlatego, że jestem wprawdzie człowiekiem inteligentnym, może nawet bardzo inteligentnym (niech mnie piorun trzaśnie, jeśli mam zamiar pochlebiać sobie, lub się chwalić!) – ale nie jestem człowiekiem rozumnym. Nie posiadam zwłaszcza spokojnego męskiego rozumu. Nerwów swoich nie trzymam na wodzy, jestem przeczulony; raniłby mnie – wedle wyrażenia poety – nawet listek róży, złożony we

dwoje. Jest coś kobiecego w mojej inteligencji. Być może, iż nie stanowią pod tym względem wyjątku i że wielu ludzi, noszących spodnie, należy, przede wszystkim u nas, do tego samego typu. Mała stąd dla mnie pociecha. Tego rodzaju umysł może dużo rzeczy rozumieć, ale źle się nim człowiekowi kierować w życiu: rzuca się on niespokojnie, waha, nadto precedza każdy zamiar, wreszcie zatracą się wśród krzyżowych dróg. Skutkiem tego zmniejsza zdolność do czynu, a pozwala się rozwijać słabości charakteru, która u nas jest wadą wrodzoną i powszechną. Oto stawiam sobie naprzykład nowe pytanie: gdyby nie było w liście ciotki wzmianki o Kromickim, czy w takim razie rozwiązanie sprawy byłoby inne? I dalibóg, nie śmiem odpowiedzieć: tak! Nie byłoby tak szybkie – to pewna – ale kto wie, czy pomyślniejsze. Słabe charaktery potrzebują nieskończonych ułatwień; tylko potężne dusze znajdują w oporze bodziec. Laura, która pod pewnymi względami jest przenikliwa, jak piżmo, prawdopodobnie zrozumiała to i może dlatego była tak – łaskawą.

Nakoniec, co z tego wypada? Czy jestem safandulą? Bynajmniej! Człowiek, który sobie nie szczędzi prawdy, nie oszczędziłby i tego wyznania – ale bynajmniej!... Czuję, że mógłbym pojechać bez żadnych namysłów do bieguna, albo zostać misjonarzem i iść w głąb Afryki; posiadam pewną czupurność, pewną odziedziczoną odwagę i byłbym zdolny do wszelkiego rodzaju śmiałych zamiarów, ryzykownych przedsięwzięć. Temperament mam żywy, ruchliwość nie tak

wielką, jak naprzykład Śniatyński – ale niepomierną.

Tylko, gdy chodzi o rozwiązanie jakiegokolwiek zadania życiowego, sceptycyzm mój czyni mnie bezsilnym, umysł gubi się w spostrzeżeniach, wywodach, wola niema się na czym oprzeć – i czyni moje zależą po części od wypadków zewnętrznych.

12 Maja

Laury nie lubiłem nigdy, chociaż byłem i dotąd jeszcze jestem pod jej fizycznym urokiem. Może to się wydaje na pierwszy rzut oka dziwne, w istocie rzeczy jest jednak zjawiskiem dość pospolitem. Można nawet kochać i nie lubić. Ileż razy zdarzało mi się widzieć miłość gorzką, zgryźliwą, pełną uraz, dlatego właśnie, że nie była podszyta lubieniem. Wspomniałem już, zdaje mi się, o tem, że Śniatyńscy nietylko się kochają, ale się ogromnie lubią; dlatego im ze sobą dobrze... Ah! czuję, że i jabym lubił Anielkę i że byłoby nam również dobrze... Lepiej o tem nie mówić!... Co do Laury, ta mogła spotkać wielu ludzi, którzy na zabój kochali się w jej czarnych włosach, w jej posagowych kształtach, w jej brwiach, głosie, spojrzeniu, noszeniu głowy etc., jestem jednak pewny, że jej nikt nigdy nie lubił. Szczególna ta kobieta pociąga prawie nieprzeparcie, ale jednocześnie odpycha. Powiedziałem, że po za pięknością niema w niej nic, bo i jej niezwykła inteligencya, to tylko pierwsza niewolnica, klęcząca u nóg jej piękności i zawiązująca jej koturny. Nie dalej, jak tydzień temu, widziałem Laurę, dającą jałmużnę dziecku rybaka, który się niedawno utopił, i pomyślałem sobie tak: gdyby wiedziała, że jej będzie piękniej

powykłuwać oczy temu dziecku, toby je powykłuwała z całym spokojem i słodyczą. Takie rzeczy się czuje – i oto dlaczego można dla tej kobiety stracić głowę, ale niepodobna jej lubić. Ona zaś wszystko rozumie, prócz tego.

Ale za to jaka piękna. Gdy kilka dni temu schodziła ze schodów willi do ogrodu, kołysząc się na swoich przepysznych biodrach – „myślałem, że padnę”, jak powiada Słowacki. Stanowczo jestem pod wpływem dwóch sił, z których jedna przyciąga, druga odpycha. Chcę jechać do Szwajcaryi i chcę zarazem wracać do Rzymu. Na czym się skończy, nie wiem. Ribot słusznie powiada, że **chcę**, to tylko stan świadomości, nie akt woli; tem mniej jest aktem woli podwójne **chcę**. Odebrałem list od mego notaryusza, wzywający mnie do Rzymu w sprawie spadku; są tam jakieś formalności do załatwienia, przy których zresztą możeby się bezemnie i obyło, gdybym koniecznie pragnął nie jechać... Ale zawsze to pozór... Od pewnego czasu nie lubię Laury więcej, niż dawniej. Ona sama nie przyczyniła się w niczem do tego, bo ona zawsze jednaka, tylko stało się to, że niezadowolenie z siebie samego przenieśliśmy na nią. W czasie moich rozterek wewnętrznych, szukałem przy niej tylko spokoju, lecz zarazem jakby umyślnego poniżenia; teraz czuję za to do niej niechęć. O tych moich burzach ona ani nawet wiedziała. Co ją mogły obchodzić, skoro nie nadawały się jej do zrobienia ozdoby? Zauważyła tylko, że jestem jakiś gorączkowy i bardziej porywczy, niż zwykle; trochę pytała o przyczyny, ale bez zbytniego nalegania.

Być może, iż pociąg, jaki mam do niej, zwycięży, że nie wyjadę, ale w każdym razie powiem jej jutro lub jeszcze dziś, że muszę wyjechać. Ciekawy jestem, jak przyjmie tę wiadomość – i tem ciekawszy, że nie umiem sobie tego dobrze wyobrazić. Podejrzewałem, że po za całym uczuciem do mnie, podobnem zresztą do mego dla niej, ona także mnie nie lubi – naturalnie, jeśli zadaje sobie trud lubienia lub nielubienia kogokolwiek. Dusze nasze mają dużo podobieństwa, ale mają i tysiące sprzeczności.

Zmęczony jestem straszliwie. Nie mogę nie myśleć o wrażeniu, jakie list mój sprawił w Płoszowie. Myślę o tem ciągle, nawet i wówczas, kiedy jestem z Laurą; ciągle widzę Anielkę i ciotkę. Jaka ta Laura szczęśliwa ze swoim wiecznym spokojem! Mnie tak trudno ze sobą wytrzymać...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.